Lwów, Niedziela dnia 11. Maja 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 15.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

Wycieczki Prelegentów.

Pomiędzy rozwojem oświaty a zaprowadzeniem kolei żelaznych, jest związek ściślejszy niżby się na pozór zdawało. Inną postać, inne życie, przybierają miasteczka o które się kolej otarła. Są w tym wpływie strony złe, ale gdzież ich nie ma! — To pewna, że dobre przeważają.

Ułatwienie środków komunikacyjnych wyrównało różne odrębności. Ze stronnictw narodowych tylko, potworzyły się ogólno-ludzkie, z dzienników krajowych — dzienniki europejskie, z pracy jednostek — praca zbiorowa i skombinowana wszystkich sił jednoimiennych.

Ileż to czasu oszczędza taka harmonja! Ile sił strzeże od zmarnienia!

Zarodki myśli nowych i form nowych rozsypują się po świecie. Prądy umysłowe szukają się, by się złączyć lub zwalczyć wzajemnie. Światło rozlewa się na massy i massy garną się ku światłu. U nas mniej może niż gdzieindziej — ale bo też *my dopiero żyć zaczynamy...*

— Jakto *zaczynamy?* — zapytasz zdumiony czytelniku.

— Tak jest. My, to znaczy lud, to znaczy ogół wszystkich warstw, nie zaś jednej. Naród jako całość dopiero żyć zaczyna. Z chwilą, kiedy wieśniak poznański nauczył się podnosić swój dobrobyt, gdy wieśniak w kongresówce otrząsnął się z zawrotu głowy, jaki w nim samorząd gminy przed 15-tu laty wywołał, kiedy wieśniak galicyjski zaczął dostawać dobrych i lepiej płatnych nauczycieli wiejskich — od tej chwili dopiero my żyć zaczęliśmy! Od tej chwili powinno się datować odrodzenie naszej wiary w lepszą przyszłość!

Tymczasem warstwie, ktora dotychczas cały naród i całą jego historję stanowiła, pozostaje jedna rzecz do zrobienia, zakończyć świetne dzieje odosobnienia świetnym czynem łączności — podnieść ku sobie lud.

O tem podniesieniu i w tej mniej więcej o rmie, mówi się u nas dużo, robi znacznie mniej. Dlaczego? — Dlatego że marzymy o zbliżeniu krańców. Tak zwany „pan“, dla którego ogniskiem życia będzie zawsze nie wieś lecz *wielkie miasto*, miał się zbliżyć z tak zwanym „chłopem,“ dla którego cały świat w rodzinnej wiosce. Historja zaś nie dozwala dotychczas na inny między nimi stosunek jak sztuczny, patryarchalny, co najwyżej przyjacielsko-służbowy.

Ażeby te krańce zbliżyć z czasem, potrzeba poruszyć nie najwyższe, ale warstwy pośrednie, potrzeba uczynić ogniskiem oświaty i jedności *nasze małe miasteczka*. One to mogą i wieśniaka wciągnąć w życie szersze i najwyższe warstwy utrzymać w łączności z narodem. Ale w tym celu trzeba tępić małomieszczańską arystokrację, trzeba tępić zaściankowość, trzeba obudzić w tych ludziach życie szlachetniejsze, niż to, które się zamyka w obrębie kart, kręgli, plotek i balików.

Dziwimy się nieraz, że Galicja, to znaczy przedewszystkiem jej ludność małomiasteczkowa tak mało czyta, a jeszcze mniej kupuje lub prenumeruje. Lecz nie zapominajmy, że ażeby czytać, trzeba czuć potrzebę czytania, a tę rozbudza tylko otarcie się o prądy naukowe, odetchnięcie ich powietrzem, skosztowanie owocu zanim się w nim zasmakuje.

Nie omylimy się zaś twierdząc, że najlepszą i najpewniejszą do tego pobudką może być *żywe słowo* ludzi, których w jakimkolwiek kierunku za biegłych uznajemy. Wprawdzie mogą się oni znaleźć na miejscu, ale któż jest prorokiem dla tych, którzy go stale w szlafroku widują? Urok, ażeby był ponętą, musi pochodzić z daleka, jeżeli nie z wysoka. To też ruch żywszy, który bywał w ostatnich czasach rozbudzany u nas odczytami profesorów i literatów pochodził zawsze z uroku nowości. Wiadomo jak wiele hałasu wywołały odczyty pp.: Świętochowskiego w Krakowie, który przyjechał z Warszawy, Spasowicza w Warszawie, który przyjechał z Petersburga, Tarnowskiego i Bobrzyńskiego w Poznaniu, którzy przyjechali z Krakowa i t. d.

Nie myślimy bynajmniej twierdzić, że nauka, talent lub śmiałość wygłaszanych teorji, nie były tu głównemi motorami rozbudzającemi chwilowo żywszy ruch umysłów, ale utrzymujemy zarazem, że nie małą w tem rolę odgrywała i sama okoliczność umyślnego przyjazdu z daleka, nowość i ostentacja wrażeń.

Nie śmiejmy się z tych środków. Nie lekceważmy nawet owego „hałasu“, który tego rodzaju wycieczkom towarzyszy.

Zawsześ to życie, ruch, a więc pobudka dla życia i ruchu. Aleksander Dumas, który podróżował po Francji prawiąc swoje eleganckie „Causeries“ — Dickens który objeżdżał Anglję i Amerykę odczytując swoje powiastki, przyczynili się więcej do rozbudzenia upodobań literackich aniżeli najprzystępniejsze wydawnictwo samo przez się.

Tem więcej zaś godzi się uznać siłę takich wykładów popularnych jakie urządzają Tyndall lub Helmholtz, Huxley lub Haeckel z doświadczeniami i okazami. U nas wprawdzie wielkie powagi za leniwe są ażeby się pospolitować na odczytach, co też jest głównym powodem obojętności ogółu na sprawy Akademji i Uniwersytetów, ale pomiędzy młodszymi profesorami znalazło się w ostatnich czasach grono chętnych, którzy pożytek takich wycieczek naukowych dla ogółu i dla siebie uznają.

Niezwykłe powodzenie ich wykładów, urządzanych od czasu do czasu w naszych miastach prowincjonalnych, dostatecznie za ich potrzebą przemawia. Jedną wszakże pozwolimy sobie zrobić uwagę wcale dotychczas nie uwzględnianą, a która wypływa z tego cośmy na wstępie powiedzieli, oto mianowicie, ażeby oprócz odczytów dla zamożniejszej i wykształceńszej publiczności urządzano także osobno lub łącznie wykłady popularne *za tańszą cenę*. Jesteśmy stanowczo przeciwni eksploatowaniu prelegentów dla celów wyłącznie dobroczynnych, ale sądzimy zarazem, że wybierając sale większe, teatralne np. możnaby znaczną ilość miejsc obniżyć do ceny 10 centów, bez krzywdy dla urządzających.

W Warszawie, dopóki rząd nie zakazał, tego rodzaju odczyty odbywały się z niezmiernem powodzeniem. Wejście kosztowało 10 gr. pol. a osób

bywało po 1000 do 1300, przeważnie z klasy rzemieślniczej. Nie wątpimy, że na mniejszą skalę i u nas by się to dało urządzić, trzeba tylko ażeby się zebrało kółko ludzi młodych, chętnych i wytrwałych. Zapraszanie prelegentów do „Gwiazdy“ na bezpłatne wykłady na niewiele się przyda. Profesorowie nie wytrwają dla braku czasu, a słuchacze nie będą się kwapić z ciekawością, choćby dla tego, że za to nic się nie płaci. Owszem niech będzie opłata byle umiarkowana. Niech inteligencja naszych miasteczek sama zajmie się przygotowaniami, niech zaprasza tych, których uważa za odpowiednich, a przedewszystkiem niech pamięta o tem, że tu nie chodzi o chwilową rozrywkę umysłową, lecz o zbliżenie warstw, o rzucenie ziarn wiedzy na dziewiczą glebę niewykształconych umysłów i przygotowanie plonu dla przyszłości.

Z każdą jednostką, w której myśl się rozbudzi, przybędzie nam jedna siła więcej, jeden nowy żołnierz w nieustającej walce o światło.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

(*Ciąg dalszy.*)

III.

Jakby na domiar tej poetyczności o której nic nie wiedział, Rzewnicki kiedy miał czas wolny, a nie mógł udać się do niej, wychodził za miasto na samotne spacery, żeby o niej dumać samotnie.

Nie mogło się to zdarzać często, bo w jego fachu chwil wolnych jest niewiele, zdarzało się jednak dosyć regularnie w niedziele i poranki świąteczne.

Otóż w jeden z takich poranków, kiedy zamyślony błądził w okolicach Wilanowa, nagle usłyszał krzyk za sobą.

Krzyk ten wychodził widocznie z rozdartej najstraszliwszem przerażeniem piersi. Wyrazy: „ratujcie, gwałtu, ratujcie!“, tak wysokiemi i przeraźliwemi tony dobiegały mu do uszu, że nim się zdołał obrócić był pewnym iż w niebezpieczeństwie znajdowała się kobieta.

Obrócił się w jednej, krótkiej jak mgnienie oka chwili i pobiegł w kierunku krzyku. Spiesząc z pomocą mógł rozważyć dopiero, komu i jakie zagrażało niebezpieczeństwo.

Koń rozbiegany unosił elegancką amerykankę, w której siedział trzymający jeszcze, lejce, ale niezmiernie blady młodzieniec, któremu przestrach i obawa, głos nagle w sopran przemieniły.

O kilkadziesiąt kroków za wykwintnym powozikiem z trudnością podnosił się z szosy człowiek w liberji, widocznie służący powożącego panicza. Nietrudno było zgadnąć, że egoista-famulus zamiast myśleć o bezpieczeństwie zagrożonego, wolał zająć się sobą i wyskoczył z amerykanki, co porządnem potłuczeniem się przypłacił.

Panicz pozostawiony sam sobie, nie miał ani siły do powstrzymania konia, ani odwagi czy rezolutności do pójścia za przykładem służącego i ocalenia szukał w krzyku.

Krzyk ten sprowadził mu obrońcę, ale obrońcę niewiedzącego co począć w danym wypadku. Rzewnicki nigdy w życiu nie miał do czynienia z końmi i nie domyślał się nawet, jak postąpić, żeby powstrzymać rozhukanego rumaka, który się doń zbliżał co chwila. Mimo to, nie brakowało mu chęci niesienia pomocy, biegł ciągle naprzód i byłby się rzucił pod konia, nie zważając czy się przyda na co takie wyraźne wystawienie siebie na kalectwo, gdy w stanowczej chwili instynkt podsunął mu myśl szczęśliwą...

Los chciał, że na tę przechadzkę wybrał się z parasolem, z rana bowiem było nieco pochmurno. Sam nie wiedząc po co to czyni, machilnalnie ale z błyskawiczną szybkością, otworzył swój deszczochron i wpadł z nim na konia.

Przestraszone zwierzę stanęło dęba. Powożący panicz na widok niespodzianej pomocy nabrał jakiejś otuchy i oprzytomniał o tyle przynajmniej, że korzystając z chwilowego zatrzymania się amerykanki, zgrabnym susem skoczył na ziemię.

Rzewnicki wówczas odstąpił na bok, a koń uwolniony od przeszkody, która go zatrzymała chwilowo, rzucił się dalej i nie ubiegłszy dziesięciu kroków zawadził o kamień przydrożny.

Amerykanka przewróciła się na szosę — w żyłach panicza krew zamarzła.

Kiedy Emil do niego przystąpił, biedny młody elegant przez chwil kilka nie mógł głosu z piersi wydobyć.

—Obeszło się bez wielkiego nieszczęścia— mówił Rzewnicki — wszak panu nic się nie stało?...

— Nie panie... ale... o... patrz pan.

Jąkając te słowa słabym jeszcze, lecz już nie sopranowym głosem, właściciel amerykanki wskazywał swemu wybawicielowi konia, który pieniąc się i szamocząc, rwał uprząż i rozszalały chiał pociągnąć przewrócony powozik.

Obaj czas jakiś przypatrywali się tym wysileniom zwierzęcia, które nareszcie zmęczone i bezsilne uspokoiło się, spuściło głowę i głuchem rżeniem tylko przypominało chwilę minionej wściekłości.

Wówczas dopiero ocalony rzucił się Emilowi na szyję.

— Ach! panie... — wołał — gdyby nie twoja pomoc... jużby było po mnie.

Rzewnicki należał do ludzi, który w podobnych razach zwykli zmniejszać znaczenie zrobionej innym przysługi.

— Miło mi — odrzekł — żem był panu przydatny... niebezpieczeństwo było, nie przeczę, lecz nie sądzę, ażeby zagrażało życiu... w najgorszym razie byłbyś się pan potłukł cokolwiek.

— Oh! nie, ja panie... nie, ja!... zginąłbym... najniechybniej bym zginął... już to nie po raz pierwszy te przeklęte konie dają mi się we znaki, a ja zawsze mam do nich żyłkę. Ocaliłeś mi pan życie, drogi panie, będę ci wdzięcznym dozgonnie.

Tu nagle młody panicz ugryzł się w język. Coś mu się przypomniało. Co?... trudno zgadnąć... Najpewniej rady ojca albo matki, że należy pamiętać o swem stanowisku i że nawet wdzięczność za ocalenie życia niejednakowo dla wszystkich wybawców się wyraża, lecz że ją do położenia wybawcy stosować trzeba — ugryzł się więc w język i odzyskując prawie zupełnie panowanie nad sobą, tonem dosyć zimnej grzeczności zapytał:

— Komuż winienem wdzięczność za pomoc w tak niespodziewanej potrzebie?

— Szczęśliwej okoliczności, że był ktoś co mógł z pomocą pospieszyć — odpowiedział Emil, nie widząc na razie potrzeby wymieniania paniczowi swego nazwiska — w takim przypadku — mówił dalej — każdy zapewne równie jak ja pospieszyłby z ratunkiem...

Paniczowi nie takiej widać odpowiedzi było potrzeba, a może się spostrzegł, że żądając od swego wybawcy nazwiska, swoje wprzód powinien był powiedzieć, gdyż przerwał Rzewnickiemu, mówiąc:

— Jestem baron Narcyz Pogromski... uczynisz mi pan prawdziwą przyjemność, jeżeli zechcesz powiedzieć komu jestem obowiązany...

— Jestem Emil Rzewnicki – odrzekł na to nasz bohater — lecz panie baronie, za wszystko co się stało, obowiązany pan jesteś tylko szczęśliwemu zbiegowi...

Nazwisko Rzewnickiego nie zrobiło widać złego wrażenia na baronie Narcyzie, gdyż uznał go godnym tego samego patetyzmu, z jakim swą wdzięczność wynurzać rozpoczął i znowu zaczął rozpływać się w podziękach, wtrącając co chwila utyskiwanie że nie ma szczęścia, chociaż ma żyłkę do koni.

Co do tego szczegółu młody baron Narcyz miał słuszność. Widząc że inni młodzi ludzie o krwi niebieskiej a pełnej kieszeni, lubują się w koniach na angielski sposób, że jeżdżą konno, niekiedy biorą udział w wyścigach z przeszkodami na torze warszawskim czyli na mokotowskiem polu, częściej daleko zakładają się o wypadek biegu tego lub owego czworonogiego anglika, a czasami – co prawda bardzo rzadko — raczą ujmować w dłoń pióro i zbogacać piśmiennictwo dystyngowane artykułem do odcinka ostatniej stronnicy *Gazety rolniczej* w bardzo ważnej kwestji społecznej: czy mężczyzna towarzyszący damie konno, trzymać się winien prawej czy też lewej strony — widząc to wszystko, młody baron Narcyz Pogromski postanowił nie różnić się od innych i także zostać sportsmenem.

Widać jednak przyszedł na świat pod gwiazdą, pod którą rodzą się tylko ludzie chodzący piechotą.

Czy to było skutkiem jakieś wady organicznej w koniach, na które natrafiał, czy nieprawidłowego umieszczenia środka ciężkości w jego osobie, dość że ile razy dosiadł wierzchowca, choćby najłagodniejszego i najlepiej ujeżdżonego, tyle razy spaść musiał i to prawie zawsze przez łeb. Nie pomogły wysilenia nauczycieli, rady sportsmenów i starych masztalerzy, baron Narcyz spadał i spadał, aż nareszcie wyrzec się musiał stanowczo paradowania na rumaku. Przyznać trzeba na jego zaszczyt, że nie dał za wygraną dopóty, dopóki stały lekarz domu baronostwa Pogromskich, nie zadecydował, że zbyteczny ruch połączony z jazdą konną, jest szkodliwym dla jego delikatnej kompleksji.

Niedosyć na tem. Fatalność ścigająca barona Narcyza w postaci konia, objawiała się jeszcze innemi sposobami. Nie mogąc jeździć, interesował się stajnią, oglądał konie, kazał

je przeprowadzać przed sobą, posuwał się do głaskania po grzywie i nieraz to szlachetne zamiłowanie niemałemi opłacał przygodami. Ładne zwykle i spokojne stworzenia, jego chwytały za ramię, żeby mu dać uczuć że mają zęby, lub podkowami energicznie przystępowały na nosy lakierków, by się poszczycić lekkością swych nóżek.

Ile razy wyszedł ze stajni, baron Narcyz był pokaleczonym, albo kulał. Musiał więc i tej przyjemności się wyrzec.

Pozostała tylko amerykanka i tej się baron Narcyz poświęcił, tak jak się inni poświęcają literaturze, sztuce, zbogaceniu kraju i siebie na drodze przemysłu, lub uszczęśliwieniu ludzkości przez filantropję. Amerykanka stała się dlań zawodem, powołaniem, misją. Nie pokazać się w niej na mieście w czasie pogody, byłoby z jego strony wykroczeniem przeciw obowiązkom, do jego społecznego stanowiska przywiązanym. Takiego wykroczenia nie dopuszczał się nigdy baron Narcyz. Ilekroć deszcz nie padał, Warszawa podziwiać mogła jego egzercycje w sztuce powożenia, admirować elegancję jego ubrania, dystynkcję pozy, arystokratyczność szyku. Baron Narcyz jednakże nie poprzestawał na tem. Po Warszawie można było jeździć tylko w pewnych przez modę przepisanych godzinach, jego namiętność do amerykanki potrzebowała obfitszej karmi. Często wybiegał swoim lekkim powozikiem za rogatki i tam dopiero puszczał cugle rumakowi, by z wichrami polnemi puszczać się w pogonie.

Przyjaciele jego nazywali go dziwakiem, baron, Narcyz akceptował tę nazwę i nie gniewał się o nią.

— To już taka moja oryginalność — mawiał do tych co mu robili o tej jego fantazji uwagi — zdrowie mi nie pozwala jak wam walczyć w szrankach wyścigu o sławę rączości volliblutów i dreiviertellblutów, mimo to lubię konie i kiedy bat i lejce w swej dłoni poczuję, zaraz chce mi się bujać po obszerniejszym przestworzu... Jaka szkoda, że nie weszły w modę wyścigi amerykankami.

Przez czas dość długi żadna przygoda nie spotkała barona Narcyza w tych po mieście i za miastem przejażdżkach i już mu się zdawało, że ten rodzaj ćwiczeń hipicznych jest zupełnie bezpiecznym rodzajem. Było jednak zapisanem w księgach przeznaczeń, że hipomanja nawet tak niewinnym jak powożenie objawiająca się sposobem, nie zawsze bezkarnie ostatniemu z rodu Pogromskich uchodzić będzie.

Wiemy już od jakiej katastrofy los, przybrawszy na siebie postać Rzewnickiego, ocalił drogie życie barona Narcyza.

Ochołnąwszy z przestrachu zupełnie, lubo ręki Emila nie puszczał, jakby w przewidywaniu że jej pomoc dalsza potrzebną mu jeszcze być mogła, młody baron obejrzał się za swym służącym, na którym teraz leżał obowiązek podniesienia przewróconej amerykanki.

Ów służący śmiałym i energicznym skokiem usunąwszy się od niebezpieczeństwa, teraz podniósł się z ziemi i utykając jak mógł przyśpieszał kroku, lecz nie na pomoc panu a w stronę Warszawy.

Baron Narcyz wołał go po imieniu, dobywając całej potęgi głosu, lecz to się na nic nie przydało. Kulejący sługa nie raczył się nawet obejrzeć.

— Pewno chce przyprowadzić ludzi — zauważył Rzewnicki.

— Gdzie tam, panie — kwaśno odpowiedział baron—już ja go znam, tego łotra... Wraca do domu... a mnie pozostawia w nieszczęściu.

— Jest to nie do darowania — rzekł Emil — przedewszystkiem nie powinien był wyskakiwać... do niego należało poskromić konia; jako stangret z profesji wiedziałby najlepiej jak się wziąć do tego...

— To też panie nieszczęście — wyznał ze smutkiem młody baron — że się dzisiaj wszystko na mnie sprzysięgło... Ten błazen nie jest stangretem... zwykły próżniak przedpokojowy... lokaj... Mój stangret zasłabł mi nagle... a że jakoś nie wypada wyjeżdżać bez człowieka, więc wziąłem tego nicponia, co nigdy w życiu koni nie dotykał i boi się ich jak ognia.

Rzewnicki aż warg przygryzł, żeby się nie uśmiechnąć.

— Jeżeli tak panie, to trudno mu się dziwić... chociaż w niebezpieczeństwie powinien był stać się mężczyzną. Ja także mało w życiu miałem do czynienia z końmi, a przecież nie wahałem się pospieszyć panu na ratunek, bo w takim razie nie o sobie się myśli.

— Ach! Panie — przerwał baron — pan to co innego. W naszych żyłach płynie krew inna, nas niebezpieczeństwo nie przeraża, myśmy w ogień skoczyć gotowi, nie oglądając się na następstwa, gdy tego trzeba — od gminu żądać tego niepodobna.

Emil znów musiał tłumić uśmiech, słysząc że pan baron swoje znalezienie się w tym wypadku także mieni odważnem, swój krzyk pełen trwogi do aktów bohaterstwa zalicza, a nawet wyższość swoją nad gminem wyższością poświęcenia uzasadnia. Grzeczność nie pozwalała protestować przeciw tej tak wyraźnej przechwałce, lecz jej niepodobna było potwierdzić, więc milczał.

— Cóż my poczniemy nieszczęśliwi? — westchnął baron załamując ręce.

—Poradzimy sobie jak będziem mogli— odpowiedział Rzewnicki — najprzód trzeba podnieść powozik i zobaczyć czy bardzo uszkodzony.

— Któż to zrobi?...

— My.

Młody baron spojrzał instynktownie na swoje jasne rękawiczki, okrywające ręce co nigdy nie dźwigały ciężarów i miał już na ustach wyraz powątpiewania czy połączonemi siłami zdołają spełnić owo herkulesowe zadanie — widząc jednak, że Emil zabrał się do podnoszenia amerykanki, pospieszył z użyczeniem sił swego wątłego ramienia.

W chwilę potem amerykanka stała już na kołach. Okazało się że uszkodzeń znacznych nie było.

— Możnaby jechać — rzekł baron Narcyz — lecz... jak się koń znowu rozbiega...

Wypada panu baronowi jechać powolniej, byle tylko powrócić do domu.

— Niestety! panie... mój gorący temperament nigdy mi się pod tym względem miarkować nie pozwala... — narzekał młody Pogromski — całego tego nieszczęśliwego wypadku to właśnie było przyczyną, żem zanadto rozpędził konia... Ach! panie Rzewnicki... czy chcesz pan łaskaw być na mnie aż do końca?...

— O ile to jest w mojej mocy.

— A więc... siadaj pan ze mną... będziesz powoził, bo ja sobie nie ufam... i jeżeli łaska odwieziesz mnie do domu, gdzie moi rodzice i moja siostra z radością przyjmą pana i podziękują za ocalenie od śmierci...

— Od śmierci jak od śmierci — uśmiechnął się Rzewnicki — ale przynajmniej od siniaka lub guza.

— Pan to lekceważysz, żeby zmniejszyć wartość swego szlachetnego postępku, ale wiesz pan na lepiej, że tylu znakomitych ludzi zginęło skutkiem rozbiegania się koni... książę Orleański .. jeden z królów saskich.

— Nie przeczę... Wracając jednak do kwestji, nie powoziłem wprawdzie nigdy...

— A! nie powoziłeś pan nigdy... — przerwał Pogromski.

—Sądzę jednak, że to niewielka sztuka...

— O! mylisz się pan panie Rzewnicki, powozić z elegancją, z wdziękiem, z szykiem, to nielada zadanie...

— Być i to może. W takim jednak przypadku, w jakim się pan baron w tej chwili znajduje, możnaby dać za wygranę elegancji i szykowi i mógłbym pana odwieść, jeżeli to uważasz za konieczne, ale jeżeli nie z innych względów, to przynajmniej ze względu na moją poranną tualetę, muszę się wymówić od zaszczytu przedstawienia w domu pańskim.

Baron Narcyz uznał wzgląd na poranną tualetę tak słusznym, że nie zaprotestował nawet przeciwko temu.

— Lecz nas pan odwiedzisz następnie — rzekł z grzecznością.

— Będzie to moim obowiązkiem — również grzecznie odpowiedział Emil, nie myśląc bynajmniej dotrzymywać danej w ten sposób obietnicy.

— A więc siadajmy.

Wsiedli, mieszcząc się na miękkiem siedzeniu Emil ujął w dłoń bicz i lejce i pojechali.

Przez czas jakiś baron przyglądał się w milczeniu szykowi, z jakim Rzewnicki trzymał bat i władał lejcami, i chociaż poza naszego bohatera była najnaturalniejszą, a może właśnie dlatego, nie był z niej zadowolniony.

— Mam do pana jeszcze prośbę, panie Rzewnicki — rzekł gdy dojeżdżali do rogatek.

— Jaką panie?

— Ale nie obrazisz się pan... bo wierzaj mi pan wolałbym jeszcze raz doświadczyć takiej samej przygody, niż uchybić panu...

— Panie baronie najchętniej wierzę, że cokolwiekbyś żądał, żądać będziesz bez zamiaru ubliżenia mi...

— A więc jeśliś pan łaskaw jedźmy bocznemi ulicami.

Rzewnicki roześmiał się serdecznie.

— Rozumiem — zawołał — nie umiem powozić z wdziękiem.

— Owszem panie... nie dlatego bynajmniej...—chciał się usprawiedliwiać Pogromski.

— Nie tłumacz się, panie baronie. Sam powiedziałeś, że do tego długich studjów potrzeba. Nie robiłem ich nigdy i wątpię czy kiedy robić będę, więc się nie dziwię, że nie umiem. Przejeżdżamy właśnie rogatki, skręcam

*

na lewo. Idzie mi tylko o to, żebym pana dowiózł cało.

Baron Narcyz był zachwycony uprzejmością Emila.

— Nie sportsmen, prawda — myślał— ale jest w nim materjał na prawdziwego dżentelmena... nazwisko przyzwoite, szlacheckie... ubraniu... jak na wycieczkę poranną za miasto... nic zarzucić nie można... znaleźć się umie... wcale się tem nie mięsza że jedzie z baronem... widocznie otrzaskany ze światem... Można będzie z nim żyć... będę miał w nim świadka, żem się przyzwoicie znalazł w niebezpieczeństwie.

Pogadanka przez drogę szła dosyć wesoło. Wypadku żadnego nie było, co tak dalece uspokoiło barona Narcyza, że gdy dojeżdżali do domu, był już w stanie opowiedzieć Emilowi cały wypadek, w którym on tak ważną rolę odegrał, z pewnemi modyfikacjami, które potrzebował zrobić, aby przedstawić w pochlebnem świetle swoją baronowską odwagę.

Emil słuchał opowiadania z uwagą i nie zaprzeczał bynajmniej bohaterstwa Pogromskiemu. Prawdą bowiem było to, co w nim zauważył baron Narcyz. Rzewnicki potrafił się znaleść i nie myślał bynajmniej wytykać młodemu paniczowi jego przechwałek i przesady w opowiadaniu. Pogromski zrobił z awantury, która go spotkała, czyn, godny być rapsodem jakiej epopei, Emil słuchał jego powiastki i przyjmował ją za prawdę, przezwyciężając uśmiech jaki mu bujna wyobraźnia Narcyza co chwila wywoływała na usta. Miał wyraźne pobłażanie dla człowieka, który widocznie wstydził się swojego strachu i pragnął stać się bohaterem przynajmniej w opowiadaniu, kiedy nim nie mógł być w rzeczywistości.

Tym sposobem odkryła nam się jeszcze jedna strona charakteru Emila, strona, którą posiadać powinni wszyscy, co jego zawód obierają — umiał żyć z ludźmi.

Przekonawszy się, że Rzewnicki ani myśli w żadnym ważniejszym punkcie zaprzeczać opowiadanej legendzie, że tylko tam, gdzie mowa o ocaleniu życia zmniejsza wartość oddanej przez siebie usługi, co na karb skromności liczyć było można —tytułowany amator powożenia, kto wie, czy nie wdzięczniejszym mu był za tę uprzejmość, niż za samo ocalenie życia.

— Kocham go prawie za to, tego Rzewnickiego — myślał, gdy stawali przed domem. C. d. n.

OŚWIETLENIE ELEKTRYCZNE.

przez

B. ABAKANOWICZA.

Jedną z kwestjí najbardziej zajmujących obecnie świat naukowy, przemysłowy i finansowy na Zachodzie, jest sprawa oświetlenia elektrycznego. Wynalazcy i ludzie nauki rzucili się do studjowania tego przedmiotu, wprowadzonego kilkoma nowemi pomysłami, które znalazły praktyczne zastosowanie, na porządek dzienny. Co chwilę otrzymujemy wiadomości o nowych postępach, czytamy przesadne pochwały z jednej i nieusprawiedliwione nieraz zarzuty z drugiej strony. Ruch ten, mający dotąd przeważnie akademickie znaczenie, odbił się nawet i na giełdach. Akcje towarzystw gazowych pospadały w Anglji i Francji w stosunku dotąd niesłychanym Do walki wystąpiło światło elektryczne w nowej postaci i wyzwało najpraktyczniejszą z dotychczasowych metod oświetlenia za pomocą latarni gazowych. Jaki będzie rezultat tej walki? jak długo trwać ona będzie? oto są pytania zajmujące już teraz nie tylko świat naukowy, ale i publiczność całą, żądną zawsze nowości.

Sądzimy, że będzie rzeczą pożyteczną przypatrzeć się chociaż tylko pobieżnie tej sprawie i poznać najnowsze jej fazy.

I.

Z obecnie używanych świateł elektrycznych dwa są rodzaje, rywalizujące dzisiaj ze sobą. Jedno wytwarza się w obecności tak zwanego *łuku woltaicznego*, drugie przez *inkandescencje*, czyli rozżarzenie do białości.

Pierwszy rodzaj najdawniej został praktycznie zastosowanym. Odkrył go Davy w r. 1813. Uczony ten przepuszczał bardzo silny prąd elektryczny, od baterji mającej 2000 elementów, przez dwa kawałki węgla oparte jeden na drugim. Węgle zaczęły się bardzo silnie żarzyć, a gdy je oddalił od siebie, to oba końce neprzeciw siebie stojące, zaczęły wydawać olśniewające światło, a pomiędzy niemi powstał fioletowy płomyk, jak łuk zakrzywiony; płomyk ten nazwano łukiem woltaicznym.

Siła światła otrzymana tą drogą była zadziwiająco ogromna, lecz koszta były tak znaczne, że nie myślano na razie o praktycznem zastosowaniu. Dopiero wprowadzono je w życie gdy wynaleziono machiny dające elektryczność w wielkich ilościach i tanim kosztem.

Ponieważ węgle się zużywały podczas świecenia, więc trzeba je było zbliżać ciągle do siebie. Wynaleziono w tym celu regulatory, które za pomocą osobnych mechanizmów zegarowych spełniały tę funkcję automatycznie.

Inaczej powstaje tak zwane światło elektryczne przez *inkadescencję*. Prąd elektryczny przechodzi przez jeden kawałek węgla, platyny albo innego ciała i rozpala go do białości tak, że wydaje on silne światło promieniejące na wszystkie strony.

Pierwszy z tych systemów był przez długie lata zastosowywanym i zastosowują go aż do obecnej chwili. Daje on znakomite rezultaty wszędzie tam, gdzie chodzi o skoncentrowanie potężnego światła w jednym punkcie, gdzie z jednego źródła trzeba oświetlić wielką salę, lub jakiś odległy przedmiot w ciemności. Używają go do latarni morskich, do warstatów, sal kolejowych, na wojnie do oświetlania pozycji nieprzyjacielskich i w teatrach do wywołania efektów sztucznego światła.

W takich wypadkach, jest to najdogodniejsze i stosunkowo najtańsze ze wszystkich świateł, jeśli się weźmie pod rachunek jego ogromną siłę. Lecz do oświetlenia ulic, gmachów publicznych i wnętrz trudno go używać, a to głównie z następujących powodów: Jest ono zbyt rażącem dla oka. W jednym punkcie, koncentruje się światło równające się co do siły kilkuset i więcej płomieniom gazowym. Jest nieznośnem dla oka, tem bardziej, że znać ciągłe i nieraz znaczne wahania się w natężeniu. W dodatku powstają jeszcze niewygody, wpływające znacznie na podniesienie kosztów. Pomimo, iż w jednym punkcie skoncentrowaną jest wielka ilość światła, to jednak światłem takiem nie można oświetlić znacznej przestrzeni. W bliskości ogniska światło jest jakby w dzień słoneczny, lecz w odległości kilkuset kroków już go znać zaledwie. Natężenie światła słabnie niezmiernie szybko w miarę oddalania się od źródła, w odwrotnym stosunku kwadratów z odległości. Tę samą przestrzeń oświecilibyśmy bezporównania lepiej, jeślibyśmy zdołali rozdzielić całą siłę światła na kilka lub kilkanaście części i ustawić w różnych punktach. Jestto zadanie, tak zwanego „podziału fizycznego światła elektrycznego“, nad którem łamano sobie aż do ostatniego czasu głowy. Za pomocą jednego źródła elektryczności, można było zapalić tylko jedno ognisko o wielkiej, nadmiernie wielkiej sile, ale dwóch albo kilku było prawie niepodobieństwem.

Z drugiej strony, przy świetle otrzymanem drogą inkandescencji podział był bardzo łatwym i w jeden obwód można było wstawić lamp kilkadziesiąt, z których każda dawała siłę tylko kilkunastu gazowych płomieni, lecz w zamian tracono bardzo wiele na efekcie, i podział odbywał się kosztem nieproporcjonalnego zmniejszenia siły światła. Podział tego rodzaju okazał się za kosztownym i dlatego też wszystkie z ostatnich czasów tak rozgłośne metody Edisona, Wedermanna, Sawyer-Mana, Marcusa, nie doczekały się praktycznego zastosowania. Wspominaliśmy już o nich kilkakrotnie w kronikach naukowych „Tygodnia“.

II.

Wiele wad dawnego sposobu oświetlania przy pomocy regulatorów, zostało usuniętych przed półtora rokiem przez inżyniera Jabłoczkowa, który wynalazł tak zwane *świece elektryczne*, dające światło zupełnie znośne dla oka, pięknej białej barwy, niemigocące prawie wcale i w niektórych wypadkach tańsze od gazu. To też zalety te utorowały odrazu drogę nowemu wynalazkowi i dziś już przeszło tysiąc lamp elektrycznych pali się w Paryżu, a zamówienia za granicę idą tak szybko, iż fabryka maszyn nastarczyć nie może i co chwilę potrzebuje rozszerzać warstaty.

Dla cudzoziemca, przybywającego do Paryża w ubiegłym roku, najbardziej uderzającą nowością było oświetlenie tego nowego rodzaju ulic i gmachów publicznych. Rozlewa ono wśród wieczora białe i jaskrawe promienie na tłumy przechodniów i ściany domów, przy których blask płomieni gazowych niknie zupełnie, i wyglądają one jak dawne łojówki w obec gazu, który się w bieżącym wieku pojawił.

Jabłoczkow jednym zamachem usunął zupełnie regulatory, zrobił światło bez porównania jednostajniejszem i w jeden obwód drutu przeprowadzającego prąd elektryczny potrafił wstawić kilkanaście lamp, które całą jaskrawość dawnego ogniska rozdzieliły na kilka części, nie posiadających wcale oślepiającego blasku. Wynalazek jego jest tak prostym, iż dziwić się wypada, jak dotychczas nikt nie wpadł na tę kombinację prostą aż do śmieszności. Dotychczas węgle w lampie elektrycznej stawiano prostopadle jeden nad drugim. Jabłoczkow postawił je równolegle, w odległości paru milimetrów od siebie, a przestrzeń wolną między obu zapełnił laseczką gipsu, ściśle do węgli przylegającą.

Jeden drut od maszyny wytwarzającej elektryczność dotyka do dolnego końca jednej laseczki węgla — a drugi, do dolnego końca drugiej. Oba górne końce złączone są z sobą cie-

niutką laseczką grafitu, albo też inną jakąś massą elektryczność przeprowadzającą. W ten sposób prąd elektryczny wchodzi do pierwszej laseczki węgla i przebiega po niej do góry, nie mogąc wprost przeskoczyć do laseczki sąsiedniej, gdyż temu przeszkadza izolująca warstwa gipsu. Wpada do niej dopiero przez połączenie u góry, które się w mgnieniu oka rozpala do czerwoności, potem białości i ulatnia zupełnie.

Wtedy obie laseczki węgla już się nie stykają u góry i powstaje między niemi ów łuk woltaiczny, posiadający najwyższą temperaturę, jaką znamy na ziemi. Gips w górnej części, dotykający łuku tego, zaczyna topnieć i ulatniać w miarę jak się węgle zużywają. Lecz jak już wspomnieliśmy, oba węgle nie zużywają się jednakowo i żeby „świeca Jabłoczkowa" paliła się jednostajnie, trzebaby było jednę laseczkę zrobić mniej więcej dwa razy grubszą niż drugą. Lecz małą tę niedogodność usunięto w ten sposób, iż prąd elektryczny idący z wielkiej maszyny magneto-elektrycznej, zmienia z niezmierną szybkością swój kierunek kilkaset razy na minutę i raz przeskakuje z pierwszego węgla do drugiego, potem odwrotnie, i tak dalej, aż póki machina jest w ruchu. W ten sposób węgle zużywają się jednostajnie i cała świeca spala się powoli od góry do dołu, jak zwykła świeca używana przez nas do oświetlania pokoju.

Ponieważ węgle są równoległe, więc odległość między niemi pozostaje zawsze ta sama i światło jest zupełnie jednostajnem a regulatory niepotrzebnemi. W dodatku jeszcze rozżarzony gips, w górnej części świecy, staje się nawpół przewodnikiem elektryczności. Część więc prądu zużywa się na wytworzenie światła, a część bieży po drucie dalej i służy do zapalania lamp następnych. Tą drogą zamiast jednej lampy o sile rażącej tysiąca płomieni gazowych, można mieć dziesięć lub dwadzieścia lamp o wcale znośnem dla oka natężeniu światła.

Ta, nazwana tak przez wynalazcę „kanalizacja" prądu elektrycznego jest najgłówniejszą zaletą nowego systemu oświetlania, ze względu na własności światła w ogóle. Jeżeli np. mamy jakiś plac duży do oświetlenia, to kilkoma, lub kilkunastoma lampami o mniejszej sile zdołamy go bez porównania lepiej oświetlić, jak już o tem mówiliśmy, aniżeli z jednego źródła.

Ta możebność rozdzielenia światła elektrycznego na wielką ilość płomieni i rozrzucenie ich na dowolnej powierzchni w niewielkiej od siebie odległości, przyniosło odrazu wielkie powodzenie towarzystwu akcyjnemu, które się zawiązało w celu handlowego eksploatowania wynalazku Jabłoczkowa i ono wróży mu świetną przyszłość.

Pyszniejszego i bardziej wspaniałego oświetlenia nie można sobie wyobrazić; każdy nabrał tego przekonania, kto widział w Paryżu wielką ulicę *Avenue de l'opéra* oświetloną w całym swoim przebiegu świecami Jabłoczkowa. Na przestrzeni, na której dawniej stało 15 zwykłych lamp gazowych, ustawiono jednę lampę elektryczną, dającą siłę przeszło 100 płomieni. Każde ognisko, otoczone jest banią szklanną, mlecznego koloru, która światło rozprasza na wszystkie strony i czyni je bardzo miłem dla oka. Ściany olbrzymich domów i tłumy przechodniów, oblane są światłem spokojnem, podobnem bardzo do księżycowego, tylko bez porównania silniejszem. Szyby magazynów oświetlone gazem, wyglądają wobec niego brudno i żółto. (Dok. nast.)

MAGJA I NAUKA.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Przepowiednie nowoczesne.

Pomiędzy wróżbami sprawdzonemi, najwięcej zawsze jest takich, które spełnienie swe zawdzięczają w części rozumnej przenikliwości, w części zaś przypadkowi.

Do takiej należy np. przepowiednia anglikańskiego proroka Roberta Fleminga dotycząca niemiłych dlań katolickich rządów Francji i samego papiestwa.

Rozmyślając nad Apokalipsą św. Jana, tem niewyczerpanem źródłem proroctw na wieczne czasy, napisał on do niej w r. 1701 ciekawy komentarz, wymierzony przeciw wspomnionym wyżej władzom.

Komentarz ten brzmi jak następuje:

„*Możemy się spodziewać*, że pod koniec tego wieku (XVIII) rzeczy poprawią się. *Oczekuje* solennego upokorzenia dla poplecznikow Antychrysta. W szczególności zaś tron francuski będzie mocno wstrząśnięty. Dzisiaj, naczelnik tego królestwa, bierze słońce za godło z dewizą: *nec pluribus impar*. Wówczas, *i to przed r. 1794*, naczelnik tejże samej monarchji, będzie zmuszony uznać, porównywując się do innych sąsiadów, że jest nawet *singulis impar*. W cztery lata później i na początku piątego roku zdarzy się również *wielkie upokorzenie dla papieztwa*."

Szczególnym zbiegiem okoliczności wypadki we Francji i we Włoszech pomiędzy latami 1793 i 1797 najzupełniej potwierdziły to proroctwo. Gdyby się jednak nie spełniło, powiedzianoby, że to tylko *życzenie, oczekiwanie*, nie zaś proroctwo, albo też, że nie mogło pochodzić z nieba, ponieważ Fleming był... anglikaninem.

Ale nie zawsze równie dobrze udaje się i prawowiernym, zwłaszcza jeśli mniej mają przenikliwości i rozumu od Fleminga.

Oto np. przepowiednia z przeciwnego wprost obozu: św. Anny (Marji Taigi, 1769—1837) w części już spełniona, a której reszta ma się spełnić za naszych czasów kto ciekawy przyszłości niech słucha:

„Przyjdzie dzień, w którym papież zamknięty w Watykanie ściśnięty będzie jakby żelazną obręczą. Zginie wszelka nadzieja ludzka (jak wiadomo Pius IX. musiał nawet uciekać z Rzymu do Gaety w r. 1848) i wtenczas nagle (?) Bóg okaże swe miłosierdzie... (mógłby to być chyba powrót papieża do Rzymu w r. 1850.) *Pius IX. panować będzie lat 27...* (Powiadają, iż zmarły papież przeczytawszy to proroctwo przekreślił je i dopisał na marginesie: *questo e troppo* (to za wiele), później jednak gdy panowanie jego przeciągało się i gdy tradycyjna przepowiednia *non videbis annos Petri*, zawiodła, kazał na nowo przekreślenie zmazać. Na nieszczęście jednak, albo raczej na szczęście, i ta przepowiednia nie spełniła się, Pius IX. bowiem wstąpiwszy na stolicę apostolską w r. 1846 zmarł dopiero w r. 1878, a więc panował lat 32. Wydawca polski*) zbierał te przepowiednie około r. 1875. Jaka szkoda, że nie zaczekał do 1878! Mógłby tę część proroctwa wykreślić w korekcie, dodając z westchnieniem: *Questo e poco*.. Ludzkość by na tem nie straciła a wydawnictwo zyskałoby jedno głupstwo mniej)."

*) Zestawienie objawionych w kościele rzymsko-katolickim przepowiedni. Lwów 1875.

Ale słuchajmy dalej:

„Przyjdzie czas, w którym stolica święta utrzymywać się będzie tylko z jałmużny całego świata..."

„Papież będzie posiadał tylko miasto Rzym (właściwie i tego miasta nie posiada już od r. 1870)."

„Trupów w okolicach Rzymu będzie takie mnóstwo, jak owych ryb, które Tyber w ostatnim wylewie wyrzucił."

„Wszyscy nieprzyjaciele kościoła, jawni i skryci zginą w czasie tych ciemności, z wyjątkiem małej liczby, która się później za łaską bożą nawróci."

„Powietrze wtedy zarazi się wyziewami duchów- nieczystych (zapewne mowa o dżumie astrachańskiej...) które się zjawiać będą pod najrozmaitszemi postaciami. Ale gromnice (!) zachowają wiernych od śmierci *tak samo* jak modlitwy do N. Panny i Aniołów Pańskich."

„Ciemności znikną. *Św. Piotr i Paweł zstąpią z nieba i głosić będą słowo Boże po całym świecie*, wskażą potem następcę Piusa IX. jako *światło z nieba...*"

Światło jest już wprawdzie w osobie Leona XIII. — ale co do owej jazdy św. Piotra i Pawła, to dotychczas o niej dzienniki nie pisały.

„Święty Michał Archanioł ukaże się natenczas na ziemi, trzymając szatana na uwięzi aż do chwili przyjścia Antychrysta".

„W owe czasy Religja rozszerzy swoje panowanie po całym świecie. Będzie jeden pasterz i jedna owczarnia. Rossja, Anglja i... Chiny wejdą do Kościoła pańskiego, a narody będą się weselić, widząc ten tryumf Kościoła."

„Po tych ciemnościach Domek Loretański (Santa Casa) przeniesiony będzie przez Aniołów do Rzymu, do kościoła Santa Maria Maggiore..."

Taż sama świętobliwa prorokini miała także przepowiedzieć ogłoszenie Niepokalanego poczęcia, Nieomylności papiezkiej, zwołanie soboru, wojnę Prus z Francją i upadek tej ostatniej. Tak przynajmniej podaje wydawca polski, a nie mamy prawa o tem wątpić, ponieważ wziął on tę wiadomość od ojca Bouffier, któremu opowiadał ojciec Kalikst, ten zaś słyszał to od jednego prałata, szambelana Jego Świętobliwości, który znowu dowiedział się od najbliższych znajomych Anny Marji...

Upadek Francji nie będzie jednak stanowczym ponieważ po wojnie różnych pretendentów naród francuski rzuci się do nóg ojca Świętego.

„Wtenczas papież wyszle legata do Francji, który zbada stan umysłów w kraju, poczem Ojciec święty osadzi na tronie króla arcychrześcijańskiego."

Qui vivra verra.

Przeglądając tego rodzaju przepowiednie, widzimy, że jeśli są gdzie słuszne, to tylko odnośnie do faktów spełnionych przed ich ogłoszeniem, a to do tego stopnia, że od roku ich wydania rozpoczynają się już niedorzeczności. Tak np. siostra Róża przepowiada trafnie zdarzenia dotycząca króla Korola Alberta, ale już o Wiktorze Emanuelu prawi, że będzie zrzucony z tronu itp... Podobnież przepowiedziała zamach i następny upadek Napoleona III., ale po nim zaraz miał nastąpić jakiś „Król prawy..."

Nie idzie jednak za tem, ażeby tu i owdzie nie miały się znaleźć zdania, które przypadkową trafnością mogą nas zadziwiać. Tak np. taż sama

zakonnica przepowiada w najbliższej przyszłości że:

„*Rewolucja rozniesie się po całej Europie* i nie będzie spokoju, póki kwiat biały nie osiędzie na nowo na tronie Francji. *Austrja, Rossja i Prusy* złączą się przeciw tym *wskrzesicielom rewolucji*. Rossja ulegając przedstawieniom Ojca św. przejmie się uczuciem sprawiedliwości dla katolików. Prusy wejdą w koło kościoła Rzymskiego. Nawet Turcy *z czasem* (!) się nawrócą, itp.“

IX.

Astrologja przyszłości.

Czy dawne lata wyroczni powrócą jeszcze? Tak. Wierzę w to silnie.

Ale powrócą w formie, całkowicie od dawnych odrębnej. Przepowiednie będą inne, ale zarazem ściślejsze i pewniejsze.

Jako łącznik pomiędzy tą dawno minioną a tą która nie prędko jeszcze przyjdzie epoką wyroczni, uważam *przepowiednie astronomiczne*. Znane już w starożytności, stają się one z każdym wiekiem postępu coraz to liczniejsze i coraz to ściślejsze. Przepowiadamy dziś nie tylko zaćmienia, ale nawet zjawienia się komety, przekonano się bowiem, że nic nie ma przypadkowego w świecie materji, i że dokładność przepowiedni zależy tylko od dokładności danych, na których się opieramy i od ścisłości rachunku. Ponieważ zaś ścisłość danych, dotyczących wielkości ciał niebieskich, drogi i czasu ich obrotu, a także fizycznych praw rządzących ich wzajemnem na siebie działaniem, coraz bardziej się zwiększa, więc też mogliśmy wciągnąć w rachunek przewidujący i te objawy, które jak zjawienie się komety, uważane były dawniej za czysto przypadkowe, albo nawet opatrznościowe znaki, nie zależące od żadnych stałych praw przyrody.

Co więcej, zaczynamy rachunkiem przewidywać istnienie ciał niebieskich, takich, których nikt przedtem nie widział. Dokonał tego pierwszy Leverrier w r. 1846 wykazując że po za Uranusem, ostatnią ze znanych wówczas planet, musi się znajdować jeszcze jedna, dalsza, której miejsce względne w przestrzeni wyznaczył, i rzeczywiście w kilka tygodni potem odkryto ją za pomocą teleskopu.

Jest nadzieja, że z czasem rachunek przeniesie się i w sfery meteorologji, i że będziemy mogli przepowiadać znaczniejsze przynajmniej zmiany pogody. Tak np. przed paru laty zauważył Montigny, że światło gwiazd zmienia się w drodze do nas przechodząc przez górne warstwy powietrza i że ta zmiana zależy od stanu wilgoci, ciepła i ciśnienia powietrza. Badając zaś następnie bliżej ten fakt za pomocą lunety, ze specjalnym przyrządem dodatkowym, przekonał się, że *migotanie* się światła, tak co do siły, jak i co do barwy znajduje się w najściślejszym stosunku z ilością deszczów i wiatrów istniejących lub zbliżających się. Gdy więc zauważymy silniejsze migotanie gwiazd, przyczem i wielkość i barwa ich zdają się zmieniać, to możemy być pewni, że deszcz lub burza (stosownie do wyrazistości zjawiska) jeżeli jeszcze nie przyszły, zjawią się jutro. Od czasu ogłoszenia tezy Montigny'ego wykonano już 603 obserwacji, które w zupełności potwierdziły jego wywody. Zauważono nadto, że w ten sam sposób można przewidywać zmiany temperatury, ponieważ gdy się ona podnosić zaczyna, gwiazdy tracą swój blask i kolory ich bledną. Przeciwnie, gdy się ma na mróz, gwiazdy błyszczą silnie i barwisto. I ta zależność jest nawet jeszcze ściślejsza niż tamta.

Przewidywania innych ważnych zjawisk, takich np. jak trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne, które to zjawiska dawniej niespodzianie napadały ludzi — dziś staje się coraz bardziej prawdopodobnem. Dochodzimy doń, już to na podstawie obserwacji siły magnesów, które słabnie znacznie przed trzęsieniem i upuszcza ciężar na blachy, ostrzegające swym dźwiękiem, jak to się praktykuje w Chinach, już też na podstawie świeżo przez Palmierego próbowanych zastosowań *mikrofonu*. Ponieważ przyrząd ten, jak wiadomo, przejawia dźwiękiem w telefonie najsłabsze, niedostrzegalne żadnym zmysłem wstrząśnienia, skoro więc tylko pod ziemią zacznie się jakieś najodleglejsze przygotowanie do wybuchu, obserwator je pozna i będzie mógł wybuch uprzedzić.

Jeszcze zuchwalszą myśl powziął Stanley Jevons („Nature“ 24. kwietnia 1879). W artykule pt. *Plamy na słońcu i przesilenia giełdowe* twierdzi on, że dwa te zjawiska znajdują się w związku przyczynowym a mianowicie, że zwiększenie się ilości plam na słońcu, powoduje osłabienie jego siły ożywczej w działaniu na rolę a ztąd nieurodzaj, który znowu jest przyczyną nędzy i klęsk handlowych. I w samej rzeczy statystyka nieurodzajów i głodu powszechnego w Indjach i innych krajach wykazuje, że powraca on stale *co 10—11 lat*, a więc np. był w latach 1763, 1772—3, 1783, 1792—3, 1803—4 itp.

Otóż tę samą perjodyczność zauważyli astronomowie w ilości plam na słońcu. W pewnym roku giną one zupełnie, potem zjawiają się i rosną przez ciąg lat 4—5 i nareszcie osiągają swoje maximum, które tym sposobem powraca stale co 10—11 lat.

Jest więc według Stanley'a prawdopodobnem, że znając stan plam na słońcu, będziemy mogli przepowiedzieć zbliżanie się lat nieurodzajnych.

Jeżeli to zasada jest prawdziwą, to w takim razie *najbliższe klęski czekają gospodarzy około r. 1882.*

Posuńmy śmiałość jeszcze na krok dalej:

Ilość plam na słońcu oddziaływa na zorze północne, na stan igiełki magnesowej a prawdopodobnie i na inne zjawiska. Dlaczegóżby nie miała oddziaływać na nerwy ludzkie?...

Jeżeli zestawimy daty maximum plam z ostatniego wieku, to przekonamy się, że odpowiadają one dość dokładnie chwilom poprzedzającym lub obejmującym ważniejsze rewolucje i wojny. Są to mianowicie lata: *1828*, 1837, *1848*, *1860*, *1871* i jeżeli tak dalej pójdzie, to możemy przepowiedzieć *wielkie wstrząśnienia polityczne w Europie pomiędzy 1881—83.*

Zresztą dlaczegożbyśmy kiedyś nie mieli równie dobrze przepowiadać zdarzeń historycznych jak dziś przepowiadamy astronomiczne? Wszakże prawo przyczynowości działa wszędzie i cała rzecz tylko w tem, ażeby *znać dokładnie to co jest dziś*, czyli mieć dane do rachunku. O ile ten warunek został spełniony o tyle i dziś już przepowiadać możemy.

Tajemnicą tej nowej magji jest *statystyka*. Ona to wykazując z jednej strony perjodyczność zjawisk społecznych, z drugiej stosunek przyrostu wyrażających je liczb, pozwala prawie co do litery przewidywać mnóstwo faktów.

„Istnieje stały haracz przestępstw (powiedział Quetelet) opłacany przez społeczeństwa w stałych warunkach.“

I w samej rzeczy, możemy z góry powiedzieć, że np. we Francji w roku przyszłym będzie około 4.500 samobójstw, że mężczyźni w ogóle popełnią cztery razy więcej przestępstw niż kobiety, że w zimie będzie więcej kradzieży, w lecie zaś więcej wykroczeń przeciw osobom, że w Austrji na każdy miljon mieszkańców przypadnie 81 przestępców, że *stosunkowo* nierównie więcej będzie przestępców katolików niż protestantów. (Hausner wykazał stosunek 1383 do 153) podczas kiedy samobójców więcej dostarczy protestantyzm itd. itd.

Lecz, czy będzie kiedy możebnem przepowiadanie przyszłości *jednostek?* O tem niżej.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Listy Joachima Lelewela. Oddział pierwszy. Listy do rodzeństwa pisane. Poznań, Nakładem K. Żupańskiego 1878.*)

Niektóre nazwiska stały się jakby symbolicznym znakiem pewnych przymiotów. Do takich nazwisk należy nazwisko Lelewela. W istocie postać naszego historyka zdaje się być uosobieniem zacności, sumienności, pracowitości i niepodległości sądu.

Często jednak sądy, które ogół wyrobił był sobie o swoich wielkich ludziach, potrzeba było modyfikować, gdy się do tych wielkich ludzi zbliżono na parę kroków, gdy wejrzano w ich życie prywatne, gdy przypatrzono się pobudkom ich działalności. Tej próbie podlegają najbardziej ludzie, którzy zostawili po sobie obszerną korespondencję prywatną, naturalnie pisaną bez myśli o tem, że potomność będzie się nią zajmowała.

Tę próbę przechodzi obecnie Joachim Lelewel. Nie wiemy, co dalsze tomy o nim powiedzą, ale pierwszy tom, składający się z listów pisanych do rodziny, w niczem nie zachwiewa sądu, jaki sobie ogół wyrobił o tej szanownej postaci, i owszem umacnia go jeszcze.

Listy, zawarte w tomie pierwszym obejmują przeciąg dwudziestu ośmiu lat, to jest sięgają jeszcze roku 1799 i ciągną się prawie nieprzerwanym szeregiem do 1827 r. Wartość ich bardzo rozmaita. Niektóre z nich składają się z samych luźnych drobnych wiadomości, które mogły interesować rodzinę, ale dla dalszego czytelnika nie przedstawiają prawie żadnego interesu, gdyż ani się przyczyniają do charakterystyki współczesnego życia ani do charakterystyki samegoż piszącego. Takimi są naprzykład obszerne listy z Łucka z r. 1827. W innych interes wzrasta, nie dla tego, żeby wiadomości w nich przesyłane same przez się coś więcej znaczyły, ale że na tle ich mniej lub więcej wyraziście zarysowuje się postać piszącego. Jego krótkie uwagi, spostrzeżenia, jego niespodziane humorystyczne zwroty stanowią tu najcenniejszy materjał. Do tego działu należy zaliczyć wszystkie listy z opisami licznych podróży, które Lelewel odbywał, pomiędzy Warszawą, Wilnem, Łuckiem i Krzemieńcem. Podróże takie odbywały się wówczas zupełnie inaczej, jak dzisiaj, nie na skrzydłach pary, ale na brykach wleczonych żydowskiemi szkapami i nastręczały dużo humorystycznych epizodów do opowiadania, których Lelewel nie omieszkał wiernie zapisywać, wiedząc, że wszystkie te szczegóły będą chciwie czytane przez rodzinę. Nareszcie trzeci stopień stanowią listy ciekawe i ważne pod każdym wzglę-

dem: odzwierciedlają postać historyka, podają wiele ciekawych rysów do charakterystyki ważniejszych współczesnych postaci na polu naukowem, malują życie współczesne w ważniejszych ogniskach umysłowych. Takiemi są przedewszystkiem listy pisane z Krzemieńca 1809 i z Wilna 1822 r.

W najdawniejszych listach (1799) mamy przed sobą dopiero trzynastoletniego chłopczyka, który poraz pierwszy oddalony od domu pobierał nauki w domu ciotki swojej Cieciszowskiej i ztamtąd pisywał do brata, zostającego w domu. Już w tych listach widać przyszłego badacza dziejów. Przesyła on braciom historje rozmaitych państw, przez siebie spisywane, i mappy, prawdopodobnie przez siebie kreślone, i dołącza takie np. uwagi: „Muszę Cię Protku ostrzedz, że Tatarja po Tamerłanie została złączoną itd.“

W 1801 umieszczony został Joachim w konwikcie Pijarów w Warszawie, ale dopiero od 1802 rozpoczyna się jego korespondencja z tego miejsca, która jednak nic godniejszego uwagi nie zawiera w sobie. Następują potem listy z Wilna, gdzie Lelewel przebywał od r. 1804 do 1808, naprzód jako akademik, a potem jako kandydat na nauczyciela. W listach tych znajduje się już obfity materjał do charakterystyki życia wileńskiego, tak potocznego, koleżeńskiego, jak i naukowego. Przekonywamy się z nich także, że był czas, kiedy muza poetycka nagabywała i naszego historyka. W liście datowanym 15 lipca 1809 r. donosi o dumie, którą napisał, a którą Bakowski, profesor wymowy, chciał mieć czytaną na egzaminie akademickim. „Po tej dumie zrobiłem inną o Sobieskim, potem trzecią o Bukowinie, nakoniec sielankę: Cnotliwe kochanie.“ Pod datą 30 sierpnia tegoż roku pisze: „Zacząłem wielkie poema heroiczne; tytuł czyli rzecz „Wybranie Piasta na króla od Polaków,“ już jest początek, ale tylko początek.“ Naturalnie nikt nie podejrzewał zdolności poetyckich w Lelewelu i nikogo to nie dziwi, że przytoczony ustęp z tego poematu, jak i inne wierszowane ustępy zawarte w listach z tego czasu, różnią się od wyrobów muzy częstochowskiej tylko klasycznym pokostem.

W r. 1806 otrzymał Lelewel list od Czackiego z propozycją doskonalenia się w Krzemieńcu na profesora historji. Była to propozycja pochlebna i zdająca się obiecywać katedrę historji w Krzemieńcu, ale w tak ogólnikowych zrobiona wyrazach, że Lelewel ociągał się czas jakiś z jej przyjęciem. Zdaje się przytem, że rektor Śniadecki, współzawodniczący z Czackim, nie bardzo sobie życzył tego wyjazdu, a może nie bardzo wierzył w to doskonalenie się Krzemienieckie. To współzawodnictwo spostrzegał sam Lelewel, i kiedyś (2 stycznia 1808) w przystępie złego humoru tak skarży się na swoich przełożonych w uniwersytecie: „Dla przykładu dość powiedzieć, że Jundziłł chce, aby kandydaci włosy do góry zaczesywali.. a Śniadecki, aby wszyscy jego staraniem wydrukowanego Euklidesa studjowali — owoż uczone głowy! Od tego czasu już nie mam pretensji do rozumu. Teraz więcej niż kiedy życzę sobie wpaść w ręce Czackiego, przynajmniej nie będzie patrzał na włosy, na odzież, ani zechce żeby Euklidesa czytać..... ale wątpię, żeby co było, zdaje się, że między nim a rektorem mogą być jakieś emulacje.“

Stało się, czego sobie życzył: wpadł w ręce Czackiego, dostał się do Krzemieńca, ale nie było mu tam wcale lepiej niż w Wilnie. Zacny Czacki miał najlepsze chęci i w głowie pełno świadomości, ale tak pomięszanych, bez ładu i systemu, że Lelewel nie wiele mógł korzystać od takiego przewodnika, a tu mu nie dawano na własną rękę wykładać. „Chce podobno Czacki, pisze Joachim do ojca 7 lipca 1809, przybierać imię nauczyciela mego, ale przyznam się, że nie mam ochoty tego przyjmować, trzeba mu było mnie do siebie przed dwoma laty sprowadzić na to. A jego cała nauka radzić: czytaj tę książkę, bo dobra, a ta jeszcze lepsza, (choć czasem i niezbyt dorzeczna, ja też w takim razie pochlebiać nie umiem; to niedokładnie, to nudno, to bez związku napisano, to są moje odpowiedzi).“ Nareszcie w 1810 pozwolono mu wykładać geografję starożytnych Greków i Rzymian, przedmiot, w którym od dziecińtwa miał Lelewel szczególne zamiłowanie i który znał gruntownie, to też przygotowywanie się do wykładów nie wiele wymagało trudu i Lelewel miał teraz czas obok swoich zajęć naukowych nie tylko bawić się, ale nawet urządzać zabawy. Z przykrością patrzał na to, jak domy bogatych obywateli wiejskich, osiadłych w Krzemieńcu, pomiatały profesorami i pragnął, aby ci ostatni nie szukali znajomości tych domów i w swojem tylko gronie się bawili. W tym celu urządzał dla nich składkowe zabawy. „Przez pilne zajęcie się zabawienia publiczności krzemienieckiej, a nadewszystko kompanji profesorskiej, miałem tę korzyść, że owa melancholja z literackich prac w Łucku podejmowana powoli rozchodzić się poczęła, i ta ochota, ta wesołość zrazu wymuszona zaczęła się zmieniać w prawdziwą i zupełnie ozdrowiałem... Więc już teraz z owego zakopciałego łojowym dymem literata masz brata próżniaka....“ (13 maja 1810 r.)

Wykłady geografji starożytnej nie długo trwały, Lelewel rozstał się z Krzemieńcem, gdzie nie mógł znaleźć dla siebie odpowiedniego stanowiska i pojechał do Łucka, gdzie miał wuja biskupem i dokąd nieraz przedtem wyjeżdżał z Krzemieńca, a następnie do Warszawy. Nowa serja listów rozpoczyna się z rokiem 1815 a zawiera w sobie listy pisane z Wilna od 1815 do 1818. Lelewel wezwany był do Wilna na posadę zastępcy profesora historji; na stałą posadę miał być dopiero później konkurs rozpisany. Wykłady jego odrazu zjednały sobie liczne grono słuchaczy. „Nie wiem, pisze 15 listopada 1815, co tak powabnego słuchacze moi znajdują, na ich miejscu możebym się wyrzekł pilności i ciekawości. Błoto mamy, nieprzyjemny czas, nie mroźny, ale nieznośnie zimny i wilgotny, a pomimo tego o ciemnej godzinie do półtorasta może i więcej ich się zbiera, ztąd w sali gorąco i kataru mnie nabawiają. Z tem wszystkiem jest to jedna z licznych lekcji, na których dosyć cicho bywa, lubo niekiedy szmery się zjawiają.“

Sława Lelewela, jako profesora i badacza dziejów, rosła z każdym rokiem i już w r. 1817, uniwersytet warszawski ofiarował mu posadę bibljotekarza i profesora bibljografji. Była to posada stała, z pensją większą niż dotychczasowa wileńska, zbliżała przytem Lelewela do rodziców, mieszkających w Królestwie polskiem, ale sumienny Lelewel bał się, czy połączenie bibljotekarstwa z profesurą nie będzie sił jego przewyższało i stawiał warunki, które uniwersytet niechętnie przyjmował. Z tego powodu pisze do ojca 22 marca 1818 r.: „Wszystkie nasze zamysły targów podobno są próżne. Nie jestem poszukiwany tak zbytecznie, żebym mógł je rozpoczynać, żeby dla mnie jakie wyjątki czynić miano. Ułożony już porządek połączenia bibljografji z bibljoteką na propozycje moje rozerwany nie będzie. Domagać się przydatków na mieszkanie, czego nikt nie pobiera, byłoby to obrażać wszystkich, którzy na to nie pobierają. Nie chcę mięszać osobistego interesu, bo zaspokojenie go — szczęścia, o którem Ojciec dobrodziej wspomina, nie przyniesie. Szczęście znaleść można w ciągłej rozrywce, to jest zatrudnieniu i pracy, której społeczne życie wymaga, ale tak, żeby mogła być ochoczo dopełniona, bez uciążania siebie i przyniosła satysfakcję. Niechęć do pracy najczęściej osobistą bywa wadą, ale nieraz podjęcie się nad siły obowiązku ty niechęć sprawi i odejmie wszelką satysfakcję... Dlatego nie radbym, żeby mnie godziny obarczały tak, iżbym miał obowiązek, aby zbyć, pełnić, aby go na oko dopełnić, boby mi to najdoleglejszą przykrość sprawiło.“ Przytoczyłem ten ustęp naprzód dla tego, że zawiera on w sobie najprzystępniejszą dla wszystkich i najpraktyczniejszą, jaka istnieje, radę, gdzie szukać szczęścia, a powtóre, że maluje się w nim doskonale sumienność Lelewela, będąca jedną z głównych charakterystycznych cech jego, jako człowieka, profesora i autora.

Układ z Warszawą przyszedł, jak wiadomo, do skutku i Lelewel jeszcze w r. 1818 przyjechał do tego miasta i przez trzy lata zajmował ofiarowaną tam sobie posadę. Z tego czasu nie mamy żadnych listów Lelewela. Nowa serja obejmuje znów listy z Wilna, z czasów trzeciego pobytu Lelewela w tem mieście, kiedy historyk nasz, odniósłszy zwycięstwo na konkursie swoją rozprawą: „O sposobie uczenia historji“, zamianowany został stałym profesorem historji na uniwersytecie wileńskim (od 1822 do 1824). Znany już i przedtem lubiany przez młodzież wileńską, witany był teraz z niesłychanym zapałem. Wyrazem tego zapału był wiersz Mickiewicza, napisany jeszcze w stylu klasycznym — na powitanie powracającego profesora:

O długo modłom naszym będący na celu,
Znowuż do nas koronny znijdziesz Lelewelu!
I znowu cię obstąpią pobratymcze tłumy,
Abyś naprawiał serca, objaśniał rozumy.

Że mowa „o tłumach“ nie była tu przesadą retoryczną, dowodzi tego bardzo ciekawy list Lelewela pod datą 25 stycznia 1822, w którym znajduje się opis pierwszych wystąpień jego, jako stałego profesora w Wilnie. Spodziewając się, że na pierwszym wykładzie będzie „liczniejszy nad potrzebę zbieg ciekawych“ ociągał się z rozpoczęciem kursu, „żeby oczekujących znużyć i ostudzić.“ Nareszcie trzeba było rozpocząć, żeby jednak nie ściągać tłumów, ogłosił o rozpoczęciu kursu dopiero w wigilją pierwszego wykładu. Nic to nie pomogło.

„Jak nadeszła godzina czwarta dnia 7. v. s. (19. stycznia 1822) udałem się do dziekana mego oddziału, siadłszy z nim na sanki, zajechaliśmy przed salę, wstępujemy na schody, przeciskając się między oczekującymi, dotarliśmy do drzwi sali, daremnie, dalej już nie można, ciżba kompletna, ludzi pod sufit pełno. Ściągają się rektor, inni dziekani, niektórzy profesores, tłum na schodach pomnaża się, rada, utrzymuje rektor, że sala pod Nr. 2. obszerniejsza, całą publiczność do niej wzywa. Ciągnie procesja przez jeden uniwersytecki dziedziniec, wchodzi na drugi i ja pomiędzy jako delikwent.“ Ale i ta sala okazała się za szczupłą, rektor więc prowadzi tłumy do sali posiedzeń, na nieszczęście klucza nie ma, dostać się do niej nie można. Wracają do sali Nr. 2, ale tu ścisk taki, że omal jednego z profesorów

nie zgnieciono. Rektor krzyczy o miejsce, krzyczą na rektora, a ja z pokorą oczekuję końca. Nie brakło rad, żeby bądź na długim korytarzu jakim, bądź pod gołem niebem zagaić. Nareszcie dmuchnął projektenmacher Kontrym, żeby odłożyć do poniedziałku, przyjął tę propozycję rektor i po więcej jak półgodzinnem błąkaniu się takiem i naziębnieniu, ogłoszono odłożenie zagajenia do poniedziałku... Mniemano jednak, że to jest tylko podstęp rektora, żeby się jakiej części ciekawych pozbyć i nie mały jeszcze czas, dziedziniec, na który się pod koniec wszystko ściągnęło było, bardzo był ludny."

W parę godzin potem nastąpiła nadzwyczajna sesja senatu akademickiego, na której zażądano od Lelewela, aby podług dawnego, już zarzuconego wówczas zwyczaju, wystąpił na pierwszej prelekcji w pąsowej todze. Nieprzyjaciel wszelkiej pompy i komedji Lelewel pisze o sobie: „Krzyczałem co sił przeciwko i do ostaniego tchu przeciwiałem się i protestowałem, podobno jednak w przyszły poniedziałek przyjdzie jak rak wystąpić".

Nadszedł wreszcie ów poniedziałek (9. stycznia podług starego stylu), znowu się tłumy zgromadziły, ale tym razem mogły się pomieścić w obszernej sali posiedzeń. „Prócz młodych wiele duchowieństwa, obywateli i część akedemickiego senatu.Moim kobiercem stół był przykryty, z za którego w pąsie zdobyć się musiałem na komplementa senatowi, publiczności, ziomkom i młodzieży."

Ta popularność nie była przemijającą modą i na wykładach Lelewela stale bywało od 300 do 400 słuchaczy. Rzecz pewna, że to musiało cieszyć prelegenta, jednakże obok stron przyjemnych były i nieprzyjemne strony tej popularności Naprzód musiał Lelewel, przemawiając w wielkiej sali do wielkich tłumów wytężać głos, który nie był wcale donośnym; powtóre nie lubiał być przedmiotem uwagi, ambarasowały go one i wreszcie zwrócić nań mogły uwagę rządu. „Audytorjum zawsze pełne, pisze w marcu 1822, brzęczą już lutnie pochwałami (alluzja zapewne do wiersza Mickiewicza) a ja słucham rady Matki Dobrodziejki i bawełnę w uszy kładę. Nie mam na co narzekać teraz, ale lepiej było, kiedy mogłem bez hałasu i wystawy pracować". A w nieco wcześniejszym liście pisze: „Cobądź siedzę jak szczur na ołtarzu, któremu kadzą; to nie dziw, jeśli się kadzącym uprzykrzy, ale jak z boku kot wyskoczy a za kark uchwyci? Jest to gdzieś w bajkach Krasickiego."

Przeczucie nie było mylne i kot, jak wiadomo, zjawił się niebawem w osobie Nowosilcowa. Ta właśnie popularność, która zgromadzała tłumy na wykłady Lelewela, była głównym powodem, że w jesieni 1824, jednocześnie kiedy Mickiewicza wywożono do Rossji, Lelewelowi odebrano katedrę historji. Nie ma jednak w listach jego najmniejszej wzmianki o wypadkach 1823 r. ani o śledztwie, które się ciągnęło do następnego roku, co się tłómaczy bardzo uzasadnioną obawą, aby listów nie otwierano na poczcie. Zaledwie tu i owdzie w smutniejszym tonie niektórych ustępów daje się spostrzegać refleks tych wypadków. Tak np. pod datą 8. lutego 1824 pisze do matki: „W tych czasach byłem na pogrzebie jednego z kolegów moich, na pogrzebie żony innego z kolegów moich. Szczęśliwi co umierają!"

W stosunku do rodziny przedstawia się nam tu wszędzie Lelewel, jako najlepszy syn i brat. Joachima obfitość korespondencji dowodzi, jak go interesowały losy rodziny i jak chętnie poświęcał dla niej czas, odkradany od badań naukowych. Znajdujemy prócz tego liczne ślady bezinteresowności, która w późniejszym wieku przeszła była u Lelewela niemal w dziwactwo. Jeszcze jako akademik wileński zaklina ojca, aby mu nie nadsyłał więcej pieniędzy, gdyż z pozostałości będzie mógł się oporządzić. „Ponawiam zatem usilne prośby moje, aby Tatunio nie chciał na próżno expensować" (27. kwietnia 1806 r). Kiedy był stałym już profesorem w Wilnie, rodzice odwoływali się do niego w sprawie działu rodzinnego, a on im na to odpisał (29. kwietnia 1823), że to rzecz młodszych braci, że „z rodzeństwa młodsi nie starsi przebierają i o działach decydują..." „Rodzice przyłożą swą wolę i będzie i prawnie, i urzędownie, i przyjęto, i zgodnie, i bez kwestji i skończone."

Dalsze tomy listów ukażą nam zapewne Lelewela w drugiej połowie jego życia, o wiele bezwątpienia smutniejszej, choć jaskrawszymi promieniami sławy ozdobionej. *J. T.*

ZAKLĘCIE.

(z Heinego).

Mnich, franciszkanin młody, w noc,
Samotny siedzi w celi,
I czyta księgę, z której moc
Mędrcy nad piekłem mieli.

Gdy dzwon na wieży północ bił,
Wstaje z nad groźnej księgi
I wzywa, wytrwać nie miał sił,
Nadziemskie wszechpotęgi.

Wy duchy! woła, zstąpcie w grób,
Chcę poznać cud prawdziwy;
Niech najpiękniejszej z kobiet — trup
Stanie przedemną żywy.

I wraz zaklęcie, wzniośliszy dłoń,
Rzuca drżącemi usty,
I biedna zmarła idzie doń,
W białe odziana chusty.

I smutna, szepcze: Ojcze nasz
Święć się nam imie twoje...
Siada przy mnichu i twarz w twarz
Wpatrują się oboje...

M. Rodoć.

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. GALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VIII.

W którym naprzód inżynier a następnie Gabriella popełniają głupstwo.

Następną noc Gabriella przespała snem spokojnym, a gdy się zbudziła w niedzielny poranek, jedną zajęta była tylko myślą, myślą pójścia z matką na mszę i rzucenia po drodze w usłużną skrzyneczkę wczorajszego okropnego listu. Zaraz na rogu ulicy była taka usłużna skrzynka; jedyną trudność stanowiło rzucenie listu niepostrzeżenie. Ale trudność tę zaledwie dostrzegła a już na nią znalazła zaradczy środek; napisała w obecności matki drugi list i na zapytanie: „Do kogo piszesz?" — odpowiedziała najspokojniej: Piszę do mej przyjaciółki Bice, że w przyszłą niedzielę będę ją mogła odwiedzić, jeśli pozwolisz, mateczko. Tak więc stało się, że usłużna skrzynka do listów na rogu ulicy w niedzielne przedpołudnie zamiast jednego przyjęła dwa listy.

Stało się — pomyślała i przyspieszyła kroku, wkrótce przecież musiała się zatrzymać, bo matka nie mogła zdążyć za nią.

Stało się — powtórzyła idąc i przed ołtarzem, podczas „*Introibo*" i przy „*Ite missa est*" raz jeszcze wymówiła mimowolnie: stało się! Ale rzecz dziwna, jakoś nie czuła szczerej radości, jakiś szczególniejszy ogarniał ją niepokój; a gdyby to nie było śmiesznem byłaby może żałowała uczynionego kroku.

Nie troszcz się już tem — szepnęła z cicha sama do siebie wychodząc z kościoła a przechodząc obok puszki pocztowej, spojrzała na godzinę wyjmowania listów i pomyślała: Już go tam nie ma, już go odniesiono do biura; w tej chwili może bierze go w rękę urzędnik, rzuca ciekawe spojrzenie na wysztychowany adres, wyciska na nim stempel i kładzie między inne... stało się już! cóż się będę troszczyć?

Gdy przecież miała już wejść w bramę domu, zobaczyła spiesznie idącego listonosza i pomyślała znowu: może ten niesie list mój i za jakie półgodziny wręczy go panu Melli.

W godzinę później spojrzała na zegarek. Teraz odbiera list, ogląda go na wszystkie strony, rozdziera kopertę i czyta; z początku nic nie rozumie, potem się domyśla i śmieje, jakkolwiek wcale mu nie śmiesznie w duszy; potem zastanawia się kto to mógł mu przysłać te trzy czarno na białem wydrukowane impertynencje... naturalnie kobieta... i tu biedak przechodzi w myśli cały regiment kobiet, które go kochały lub nie chciały kochać, bo spodziewam się, że choć od czasu do czasu znajdowały się takie, co nie ulegały jego spojrzeniom... stało się już, dosyć nie ma się o co troszczyć.

I ilekroć wzięła słowniczek do ręki, ilekroć doktor Rocco otrzymywał listy i przy tysiącznych innych sposobnościach powtarzała sobie zawsze Gabriella, że to rzecz skończona, nie ma już o czem myśleć, a przecież zawsze myślała.

Było to przy obiedzie; Romolo, doktor Rocco i Tranquillina przypatrywali się jej badawczo podczas gdy Gioachino z zapałem, z ogniem wysławiał rozum, serce, temperament i Bóg wie nie co jeszcze inżyniera Ferri; ona słuchała tego z uśmiechem, i nagle przyszła jej na myśl:

— Czy on też czasem mnie nie podejrzywa?

Zaledwie domysł ten w niej powstał a już przerodził się w pewność.

— Tak, on mnie podejrzywa; to naturalne, to się samo przez się rozumie. Dwa dni przedtem był tutaj po raz pierwszy, ja nie byłam dlań zbyt grzeczną, a przy pożegnaniu nie przyjęłam wyciągniętej do mnie ręki, to pewna... on mnie podejrzywa! Gotów przyjść tu i utkwić we mnie zagasłe swe oczy... i gotów mnie zmięszać swem spojrzeniem...

Zdawało się przytem, że słuchała uważnie, ale już się nie uśmiechała a Gioachino prowadził dalej rzecz swą wymownie.

— Skoro przyjdzie, pójdę do mego pokoju i nie pokażę się wcale... Ah! co za głupstwo! Wtedy tem łatwiej dojdzie prawdy, będzie już

pewnym, że to ja; w swej zarozumiałości gotów sobie pomyśleć taki błazen...

Gabriella zamyślona spuściła w talerz oczy, zdała się roztargnioną, nieuważną, to też Gioachino urwał, a doktor Rocco rzekł dość szorstko:

— Namyśla się... pozwólcież się jej namyślić; już ona nam powie, co o tem sądzi; czyż wam tak pilno?

Dziewczę spojrzało zmięszane.

— No i cóż?

— Jakże?

— Inżynier Enea...

— A tak!... inżynier Enea...

— Nieprawdaż? — rzekł Romolo — wszakże to bardzo zacny, szanowny młodzieniec?

— O, tak, rzeczywiście, szanowny.

— Zdolny zapewnić szczęście kobiecie...

Gabrielli przebiegła nagle jakaś myśl przez głowę — odparła swobodnie:

— Gdyby o mnie się starał, kto wie? Możebym poszła za niego.

Gdy obaj starzy, rozradowani tą pożądaną wieścią śmieli się zadowoleni i wymownemi słowy wysławiali nieporównaną miłość inżyniera, Gabriella myślała:

— Niechaj teraz podejrzewa mnie o co chce, nie będzie mógł twierdzić przynajmniej, że mi sprawił przykrość swą obojętnością, albo, że nawet pozyskał nią moją miłość. Bo on tak zarozumiały, taki ograniczony, że gotówby może sobie uroić... Teraz niech sobie przychodzi, już go się nie lękam.

Rzuciła ku drzwiom wyzywające spojrzenie, ale Federico nie przyszedł.

Gdy już było dość późno, i doktor Rocco, jak zawsze, patrzał na zegarek, by sakramentalne wyrzec słowa: „już czas, dzieci...“ podniósł się nagle Romolo jak za naciśnieniem sprężyny i wyprostował tak, że tym co siedzieli, musiał się wydawać niesłychanie długim. Wobec tej uroczystej powagi, sam doktor nawet stracił kontenans do tego stopnia, że mu reszta wyrazów uwięzła w gardle.

Romolo popatrzał ukradkiem na „tak piękną zawsze“ Tranquillinę; jak we śnie ujrzał naraz dom inny, inne rodzinne ognisko, inny dzień, oddawna miniony, kiedy to zabrakło mu odwagi wymówienia tego samego uroczystego słowa za siebie, które dziś miał w imieniu innego wypowiedzieć i przymykając oczy by nie spłoszyć wizji lat ubiegłych, począł mówić:

— Doktorze Trombetta, pani Tranquillino, mam zaszczyt prosić was o rękę córki waszej Gabrielli dla przyjaciela mego inżyniera Ferri.

— Zezwalają! — zawołał śmiejąc się Gioachino.

— Zwolna — mruknął doktor, starając się w oczach córki wyczytać właściwą odpowiedź — zwolna... nie wiem jeszcze... to jest raczej Tranquillina i ja nie wiemy jeszcze... A! na cóż tu tych ogródek! Chcesz go, czy nie chcesz?

Ostatnie słowa skierowane były wprost do Gabrielli, która bezprzestannie patrzała we drzwi, nic nie odpowiadając.

— Wszakże panna Gabriella już się zgodziła — zauważył Gioachino.

— Powiedziała tylko: „Jeśli inżynier Enea starałby się o mnie... może... kto wie?...“ — objaśniała Tranquillina.

— Ależ inżynier Enea starał się, pragnie otrzymać jej rękę, a skoro taki jak on inżynier czegoś pragnie, to możecie państwo być przekonani, że jest pewien swego.

Tak mówił Gioachino, a doktor Trombetta, który mruczał gniewniej jeszcze niż zazwyczaj — odpowiedział z oczyma wciąż jeszcze wlepionemi w córkę:

— A więc, może... kto wie?

— Ale któż potrzebuje wiedzieć?— odważył się zauważyć Romolo.

— Ja naprzykład — odpowiedziała z śmiechem Gabriella. — Ja teraz powiedzieć mogę tylko, że mi się inżynier Enea nie podobał, że go cenię ze względu na jego przymioty, podczas gdy jego słabości mnie bawią, że uważam sobie za zaszczyt jego propozycję... i nic więcej; czy postąpiłabym rozumnie wychodząc za niego, czy byłoby mi możliwem prędzej lub później pokochać go, tego jeszcze nie wiem, a to wiedzieć *muszę*.

— Tak, ale jakąż mamy mu zanieść decyzję?

— Że żądam cztery tygodnie czasu do namysłu.

— To znaczy: albo Enea, albo nikt inny— zawołał Gioachino zacierając ręce radośnie.

Doktor Rocco zaprotestował przeciw temu z całą energją, na jaką stać go było wobec swej małej tyranki. Ta zdawała się wahać przez chwilę, potem odparła swobodnie:

— Tak, albo inżynier Enea, albo już nikt inny.

Gioachino mógł teraz zacierać ręce, bo doktor Rocco nagle kazał wyjść Gabrielli i wybuchnął uroczystym gniewem na tych ślepych przyjaciół, którym zdaje się, że czynią coś najlepszego wówczas gdy przeciwnie psują wszystko, co im w ręce wpadnie, na pewnych cztery stopy wielkich ludzi, którzy dla tego przestali rosnąć by mieć z swego wzrostu parawan, dla niedojrzałości umysłowej, na tę opatrzność, (przez małe o), która biednego bezwładnego, podagrycznego, na nic już nie przydatnego ojca do tego stopnia upośledza, że takiemu to gatunkowi ludzi musi powierzać przyszłe szczęście swego dziecka. Gdy wreszcie zamilkł, biedny Gioachino nie zdolnym był do wszelkiej obrony. Romolo, jako wspaniałomyślny przyjaciel chciał zań wyjść w szranki, ale oszczędziła mu tego Tranquillina, próbując bronić zaatakowanego:

— Pan Gioachino przecież Gabrielli nie...

— Tak — przerwał doktor — pan Gioachino, nie kto inny doprowadził Gabriellę do powiedzenia, że: zaślubi albo tego inżyniera z przewróconą głową, albo też nikogo innego... A jeśli taki uparciuch raz poweźmie jakiś zamiar, to już nikt nie zdoła wpłynąć na wybicie jej z głowy tych postanowień. Jeśli zaś jeszcze przez te cztery tygodnie inżynier nie zdoła sobie pozyskać jej serca, w takim razie dokażecie tego, że postanowi nie wyjść nigdy zamąż, aby tylko on nie miał do niej żalu.

Teraz ozwał się Romolo, nie patrząc przecież na Tranquillinę, ale przeciwnie ze spuszczonemi oczyma, skromnie wypowiadając swe przekonanie.

— Że czasami człowiek kochający, któremu los nie dozwolił poślubić przedmiotu miłości wyrzeka się na zawsze małżeństwa, to bywa niekiedy; temu przecież, który nie kocha, wolną jest na przyszłość droga i ten pewnie nie zamknie jej sobie.

— Nie znasz pan Gabrielli — mruknął doktor Rocco.

Gioachino przecież, który odzyskał całą swą swobodę — zauważył:

— Skoro panna Gabriella postanowiła sobie nie iść za mąż za nikogo innego jak chyba za Eneę, wiecie państwo co zrobi?... Wyjdzie za niego, to też zaniosę mu nieodwłocznie tę wieść radośną.

Że przecież zarówno on, jak i Romolo nie dowierzali zbytnio pokojowi, postanowili więc inżynierowi zrobić tylko nadzieję i nad to nic więcej, a uczynili to temi słowy:

— Panna życzliwie przyjęła naszą prośbę, zażądała przecież miesiąca zwłoki do namysłu, po upływie dopiero tego czasu zdecyduje się stanowczo; masz więc przed sobą cały luty... pozyskaj jej miłość a wyjdzie za ciebie.

W odpowiedzi tej pełen uwielbienia Enea dopatrzył się rozsądnego sposobu myślenia swej wybranej i cieszył się tem ze względu na przyszłe swe męzkie potomstwo; — potem zawołał stanowczym tonem:

— Bierz licho rozum! Teraz rzecz już w biegu i nic mi nie stoi na przeszkodzie do działania wedle mego sposobu widzenia.

Zagadkowe te słowa miały oznaczać, że od tej chwili pozwoli wzrastać swej skłonności do Gabrielli, nie dozwalając przecież namiętności zapanować nad sobą zupełnie i że dopiero w dniu, w którym los jego rozstrzygniętym zostanie, mianowicie w dniu 29 lutego, młoda dziewczyna stanie się dlań niezbędną, przed tym czasem wszakże, nigdy!

ROZDZIAŁ IX.

Głupstwo! Głupstwo! Głupstwo!

Gabriella nie wiedziała już co ma myśleć co wieczór oczekiwała odwiedzin Federica, ale w ich miejsce codzień witał ją Enea.

Że nasz przebiegły inżynier, jak powiedzieliśmy, postanowił sobie zwolna się dopiero rozgrzewać, nie zapalając od razu, przeto tysiącznych używał ostrożności widując się z piękną dziewczyną; przyczem wszakże nie spuszczał z oka głównego celu: rozgrzania uroczej ale lodowo zimnej Gabrielli.

Nieszczęściem w najsilniejszych ludzkich postanowieniach pozostaje zawsze wyłom, kędy może wedrzeć się nieprzyjaciel; to też stało się, że poczciwy Enea, ilekroć w swej wybranej dopatrzył się jakiegoś nowego przymiotu, gwarantującego mu doskonałość jego potomstwa, mylił się w odległości i przybliżał zanadto do ognia. Z tego wynikły trzy czy cztery drobne porażki, ugaszone wprawdzie zawsze w samym zarodku, grożące przecież w przyszłości wielkim pożarem, mogącym wybuchnąć z straszliwą siłą.

Naraz któregoś wieczora zjawił się Federico; miał w twarzy zwykły swój wyraz smutku i szyderstwa i dziwnie był jakiś poważny, co go w oczach Gabrielli czyniło jeszcze niesympatyczniejszym, jeśli on w jej oczach mógł być niesympatyczniejszym jeszcze.

Wszyscy byli obecni; powitali go uprzejmie uściśnieniem ręki i więcej okazali radości z jego przybycia niżeli było warto, tak przynajmniej sądziła Gabriella, która korzystając z przywileju, przysługującego jej rodzajowi, spokojnie siedziała nieporuszona i nie zwracając zupełnie uwagi na przybyłego, zwróciła się do inżyniera.

— Przepraszam, nie zrozumiałam; co to pan mówiłaś przed chwilą?

Enea, który nic nie był mówił poprzednio — odpowiedział jej coś, ale teraz rzeczywiście nic

już nie słyszała, bo Federico zbliżył się do niej i powitał chłodnym ukłonem, nie podając zupełnie ręki.

— Gabriella odwzajemniła powitanie oziębłem skinieniem głowy i zwracając się do Enei, powtórzyła ponownie pytanie:

— Przebacz pan... co to pan mówiłeś?

Na ten raz przecież umilkł inżynier, dostrzegłszy, że pytająca nie zwracała bynajmniej na odpowiedź jego uwagi.

Była też rzeczywiście roztargnioną; wprawdzie pochyliła naprzód głowę i zdała się niezmiernie zasłuchaną, uśmiech swobodny okrążył jej usteczka ale niespokojny wzrok dowodził, że ten uśmiech nie pochodził z serca.

Chce przeniknąć moje myśli, chce mnie przejrzeć do głębi duszy: na to tu przyszedł.

Kto taki? Naturalnie ten tak jej wstrętny Federico. On zaś sam oznajmił, że przychodzi z dwóch powodów.

Po pierwsze: ponieważ pragnął tak bardzo zobaczyć zacnego doktora Rocco i jego miłą rodzinę.

— „Miłą!“ — pomyślała Gabriella; — teraz poczną się przycinki.

Powtóre: dla tego, że potrzebuje pomocy obu swych przyjaciół a i panny Gabrielli.

Posłyszawszy wymówione swe imię, Gabriella poprosiła inżyniera, aby jej podał obcęgi do poprawienia na kominku głowni grożącej wypadnięciem, a otrzymawszy je, poczęła płonące drewka układać we wzorowym porządku z całą systematycznością i przejęciem.

— Przyjaciele moi w klubie — ciągnął Federico — powzięli mianowicie plan dokonania w ostatnich dniach karnawału dobrego uczynku; ludziom, którzy przez rok cały się nudzą a w tłustym tygodniu*) nie bawią, przychodzą podobne myśli do głowy. Zamierzają oni w wielkiej sali *dei Grandini* urządzić bazar dobroczynności; sporo już zebrano darów, mam tu ot listę, która następnie zostanie ogłoszoną drukiem.

Lista obeszła z rąk do rąk dokoła i wreszcie dostała się do Gabrielli.

— Pańskiego nazwiska tu brakuje — zauważyła.

— Rzeczywiście, brak go tam jeszcze.

— A któż to są owi dwaj N. N.? Jeden ofiarował do wylosowania wierzchowca, a drugi, *dwa* liry gotówką!

— Tego mi zdradzać nie wolno — odpowiedział Federico.

— No, jeśli kto daje dwa liry — wtrącił Gioachino — słusznie robi, że zamilcza swe nazwisko, kto przecież jest tak wspaniałomyślnym, iż ofiaruje wierzchowca, powinienby, chociażby już tylko ze względu na dobry przykład, nie uchylać się od podziękowania.

— To wszakże jest w takim razie pociechą — rzekła Gabriella — że wierzchowce niekiedy bywają rozsądniejsze od swych panów i zdradzają tajemnicę; idę w zakład, że jutro cały Medjolan wiedzieć będzie nazwisko tajemniczego dawcy.

Federico popatrzał na młodą dziewczynę w milczeniu; potem wracając do przedmiotu rozmowy mówił:

— Do naszego „bazaru dobroczynności“, potrzeba nam pięknych pań, które zechciałyby łaskawie podjąć się roli sprzedających i zechciały stanąć za kantorem.

*) *La settimana grassa*, ostatni tydzień karnawału, punkt kulminacyjny zabaw karnawałowych.

— Zupełnie same? — spytała Tranquillina.

— Nie, w asystencji pięknych, czcigodnych starców; przynętą naszego bazaru ma być to właśnie, że w nim sprzedaży podejmą się najpiękniejsze panny i najpiękniejsi starcy Medjolanu. I w tym celu właśnie prosiłem o pomoc pannę Gabriellę i obu jej przyjaciół...

Mówił o Romolu i Gioachinie; ten ostatni próbował się wymówić, stawiając za powód, że rola starca nie przypada mu jeszcze, ponieważ w sprzeczności z tem stałyby czarne jego włosy; Federico przecież odpowiedział, że temu brakowi łatwo można by zaradzić peruką.

Gabriella rzuciła pytające spojrzenie na matkę i oświadczyła swą gotowość.

Rozmowa toczyła się dalej ale przy najmniejszej sposobności odzywało się w niej:

— Znowu aluzja! No teraz przyjdzie kolej na... teraz wyjmie list mój i wycinki ze słownika i pokaże wszystkiem pod pozorem, że nie rozumie co to ma znaczyć, a w istocie zaś po to tylko, aby się w swem podejrzeniu mojem zakłopotaniem upewnić; ale mnie nie zmięsza ten manewr, niechaj sobie podejrzywa, owszem, tego chcę właśnie; ale pewności nie będzie miał nigdy.

Federico przecież rozmawiał o tysiącu najróżnorodniejszych rzeczy, lub przysłuchiwał się rozmowie innych w milczeniu, ale nie okazywał najlżejszego cienia owej niepewności, cechującej tego, który postanawia sobie odegrać jakąś dyplomatyczną rolkę.

I o ile piękna panna mało na niego zważała o tyleż i on zdawał się nie zwracać na nią uwagi i kto wie, czy u niego nie było to naturalniejszem, swobodniejszem niż u niej; owe wyrazy: „wstrętny, nieużyteczny i próżny“, które jak się zdawało miały być tematem rozmowy, jakoś nie chciały żadną miarą wyjść na scenę, tak, że Gabriella daremnie łamała sobie nad tem głowę, jakimby sposobem mimowolnie niby naprowadzić rozmowę na ten przedmiot.

Dopiero kiedy rozmowa przeszła na nieodzowną gazetę — odezwał się nagle Federico:

— A, byłbym omal zapomniał zadać tu państwu zagadkę.

— Zagadkę.

— Istotnie, zagadkę; noszę ją z sobą od dwóch dni i nie mogę się niczego dotąd domyślić. Macie ją państwo.

Wyjął z kieszeni gazetę, rozłożył wskazał na ustęp zakreślony czerwonym ołówkiem na ostatniej stronnicy.

Inżynier Enea, któremu przysługiwało prawo rozwiązywania wszelkich, zajmujących całe towarzystwo problematów, pochwycił dziennik i począł czytać:

— „Sprawozdanie giełdowe. Skutkiem ostatnich wiadomości, nadeszłych z Hiszpanji, więcej było sprzedających niż kupujących i w ogóle na giełdzie objawił się wielki niepokój. Z powodu obawy interwencji obcych mocarstw spadły wszystkie niemal papiery. Rentę włoską notowano na giełdzie paryskiej o 1% wyżej. Akcje bankowe poszukiwane, akcje zakładów przemysłowych wskutek krytycznego położenia targu pieniężnego obniżyły się. Upadłości różnych zagranicznych banków nie polepszyły położenia...“

Te upadłości bez wątpienia nie polepszyły położenia wierzycieli a prawdopodobnie i bankrutującym nie pomogły, ale o to nikt nie pytał, bo inżynier Enea nagle zatrzymał się i z studenckiem niemal zakłopotaniem obejrzał się dokoła; w spojrzeniu jego było wymowne pytanie:

— Tu kończy się zakreślony ustęp — rzekł zamyślony — i znowu o kawał dalej rozpoczyna.

Czytał więc półgłosem dalej, potem ruszył ramionami i wyrzekł: ani słowa nie rozumiem.

— I ja tak samo! — zawołał Federico.

Wtedy doktor Rocco wziął gazetę, przeczytał ustęp z zastanowieniem i rzekł wreszcie:

— Pan posiadasz może akcje zakładów przemysłowych, panie Federico?

— Istotnie.

— W takim więc razie rozwiązaną jest cała zagadka; jakiś przebiegły spekulant, który osobliwie bierze sprawy pańskie do serca, daje panu dobrą radę byś je sprzedał... wtedy dopiero spostrzegł jak bardzo zeszedł na manowce i poprawił się coprędzej: Nie, przebiegli spekulanci nie biorą niczyich interesów do serca prócz swych własnych.

Wtem Romolo i Gioachino, którzy zaglądali poprzez ramię doktora niemal równocześnie wykrzyknęli radośnie.

— A kropki! — zawołał Gioachino.

— Kropki! — wrzasnął Romolo.

Naturalnie nikt nie wiedział o co chodzi; ale Gioachino obszedł z gazetą od jednego do drugiego i wskazywał na pojedyncze kropeczki, umieszczone tu i ówdzie pod niektóremi wyrazami, podczas gdy Romolo z swego miejsca objaśniał.

— Kropki wskazują litery, na które należy zwrócić uwagę.

A Gioachino mówił:

— Ot, tu jest wydrukowane tak: *Sprawozdanie giełdowe.* Skutkiem ostatnich wiadomości, nadeszłych z Hiszpanji, więcej było... i t. d. „ale ja czytam: kocham cię,“ a więcej naturalnie nie chcę zdradzać.

Federico utrzymywał, że to musi być żart jakiś; następnie wziął do ręki gazetę i począł czytać zwolna ale głośno:

— „Kocham cię; oczekuję cię we wtorek wieczorem na balu u baronowej; bądź tam koniecznie, nie dręcz mnie, nie uciekaj przedemną; widzieć cię, słyszeć, mój drogi a przytem być pewną, że nigdy się nie dowiesz kto ja, to dla mnie całe szczęście życia!“

— Głupstwo! — rzuciła Gabriella półgłosem tak jednak, że to posłyszeli wszyscy.

— I to wszystko? — spytał Enea.

Federico zaśmiał się; potem odpowiedział.

— To wszystko; przez cały karnawał nie byłem na żadnym balu i teraz chciałby mnie ktoś na bal zwabić i zobaczyć jak będę grał rolę adoratora jakiejś nieznanej piękności. Moi klubowi przyjaciele gotowi są wszystko zrobić byle się trochę rozerwać. Ale ja na lep nie pójdę; sidła są za niezgrabne.

— Ulitujże się też nad tymi biedakami i idź tam! — rzekł Enea.

— Mnie się to nie wydaje zastawionemi sidłami, zauważył Gioachino, a jeśli to sidła, to niezgrabnemi ich przynajmniej nazwać nie można. Prawda, że pomysł nie jest żadną miarą nowym, forma za to nie jest pospolitą; twoi klubowi znajomi bez porównania mniej robiliby sobie ambarasu i mniej zachowywali ostrożności, byliby się zadowolnili po prostu listem bezimiennym a już co najwyżej kazaliby napisać go której z swych .... (chciał powiedzieć „metres“, poprawił się przecież przez wzgląd na Gabriellę), ze swych kuzynek, umiejącej pisać, a której pismo nie było ci znanem.

— Alboż to klubowi panowie mają kuzynki nie umiejące pisać? — spytała Gabriella.

—Wyjątkowo... być to może przecież...—bo, prowadził Gioachino dalej—nie podobna przypuścić aby rzecz małoznaczącą z siebie tak przezornie i ostrożnie byli przeprowadzali; tu natomiast sama wytworność wyszukana formy przemawia za tem, że to nie żadne sidła.

— Nie, to nie podstęp, rzecz pewna — powtórzył Romolo; — z wszelką pewnością jest w tem jakaś kobieta, która ma słuszne powody, acz dla nas niezbadane, ukrywania się o ile możności. Listy są zawsze niebezpieczne, te nawet, co są pisane zmienionym charakterem, łatwo zdradzają korespondentów. W jakiejż kopercie była gazeta?

— Zielonej jak nadzieja — odparł żartobliwie Federico — adres złożony był z drukowanych liter, powycinanych pojedyńczo i naklejonych.

— A widzisz! — zawołali jednogłośnie Romolo i Gioachino.

— Dziś wtorek, bal u baronowej rozpoczyna się za godzinę; jeśli bez zwłoki czasu pójdziesz do fryzjera, ztamtąd pospieszysz do domu, możesz na nim jeszcze być jednym z pierwszych i wybrać sobie korzystny punkt obserwacyjny. Ponieważ chodzi o odkrycie twej nieznajomej, masz nieocenioną korzyść przychodząc wcześniej od niej, ponieważ wchodząc już natychmiast upatrywać cię będzie i szukające jej spojrzenia nie mogą ujść twej uwagi. Jeśli zaś ona spostrzeże cię pierwsza, wtedy kobieca jej dyplomacja odniesie z pewnością prym nad mężkim podstępem a w takim razie znajdziesz się znów w ciemnościach.

Tę wysoce rozumną radę udzielił inżynier swemu przyjacielowi, którego z duszy serca radby już był zobaczyć za drzwiami i posłać na bal baronowej.

Federico przecież podniósł się dopiero wtedy gdy już widocznie było za późno na to, by iść do fryzjera, do domu, a ztamtąd na bal.

— Ciekawam po co potrzebował mi okazać, że nie idzie do baronowej? — mówiła sobie zamyślając się Gabriella.

— O czem myślisz? — spytała ją matka.

— O koniu pana Federica.

— Któż ci powiedział, że to on jest bezimiennym dawcą.

— Nikt mi nie powiedział, ale się domyślam.

Jeszcze chwilę stała tak zamyślona, potem z wyrazem politowania utkwiła wzrok w ścianie i trzykrotnie powtórzyła półgłosem:

— Głupstwo! Głupstwo! Głupstwo!

(C. d. n.)

KORESPONDENCJE

Genewa, 8. kwietnia 1879 r.

(Warunki powodzenia. De Amicis i jego Wspomnienia z Paryża. Biograficzne szczegóły o Zoli. Jego portret. Jego proces tworzenia powieści. Co obiecuje na przyszłość? Czem jest naturalizm? Historja dzieł Balzac'a. Siostry Vatard. Przegląd realistyczny.)

„W Paryżu do niczego dojść nie można, jeśli nie narobi się szumu. Trzeba, ażeby o tobie rozprawiano, aby cię łajano, abyś wzbudził przeciwko sobie całą burzę niechęci. Paryżanin nigdy nie kupuje książki z własnego popędu. Kupuje ją tylko wówczas, kiedy mu o niej prześwidrują uszy, kiedy kronika miejska uczyni z niej przedmiot rozmów powszechnych. Mniejsza o to, jak o niej mówią, byle mówiono — to jej szczęście. Krytyka daje wszystkiemu życie: milczenie zabija. Paryż jest to ocean, lecz ocean, na którym cisza stanowi niebezpieczeństwo a burza tylko może ocalić.... Biada temu, kto nie ma odwagi! Biada skromności! cenią tylko tego, kto zdaje się sam siebie cenić! Trzeba przedewszystkiem podtrzymać własne prawo do sławy. Kto się czyni maluczkim, zgubiony.“ Są to słowa Emila Zoli, powiedziane w prywatnej rozmowie, a przytoczone przez Edwarda de Amicis w jego „Wspomnieniach z Paryża“ (Ricordi di Parigi. Milano. 1879 r.).

Ustęp przytoczony daje się zupełnie zastosować właśnie do Zoli. W miarę krzyków przeciwko niemu, rośnie jego sława. Oprócz Wiktora Hugo, nikt może dzisiaj we Francji nie zwraca na siebie tyle uwagi co Zola. O nim piszą nieustannie; tłoczą się coraz nowe wydania jego powieści, *Assommoir* pojawił się w czterdziestem drugiem wydaniu; cudzoziemcy tłumaczą dawniejsze jego powieści i niecierpliwie dopytują się, kiedy pojawi się nowa.

De Amicis, pojechawszy do Paryża, pierwszym pędem pobiegł do Wiktora Hugo, a drugim do Emila Zoli.

Któż to de Amicis?

Edward de Amicis jest jednym z najulubieńszych pisarzy we Włoszech. W czasie wojny o niepodległość był żołnierzem. Następnie odpasał miecz i wziął pióro do ręki. Malował pełne uroku obrazki życia wojennego. Ruch, gwar, niebo odkryte pociągnęły go dalej. Odwiedził Turków, Hiszpanów, Holendrów, pojechał do Londynu, Maroka, i o wszystkiem pisał i pisał bardzo zajmująco. Jest idealistą i chętnie widzi we wszystkiem najlepszą stronę. Nie przeszkadza mu to gustować w realistycznych powieściach Balzac'a i Alfonsa Daudet'a, a *Wnętrze Paryża* (Ventre de Paris) Zoli wielce mu się podobało.

Wziąwszy za przewodnika De Amicis, i my zajrzyjmy do Zoli.

— Żałuję — powiedział autor „Kartki miłości — że nie umiem po włosku. Jest to wada wspólna nam wszystkim Francuzom, że nie znamy żadnego obcego języka. A tymczasem powinienbym umieć po włosku, wszak jestem synem Włocha!

Po pojawieniu się *Assommoir'a*, Zola otrzymał z Wenecji liczne listy od krewnych, których przedtem wcale był nie znał.

Ojcem znakomitego powieściopisarza był Francesco Zola z Treviso, człowiek bardzo wykształcony. Posiadał dobrze języki: francuski, niemiecki, angielski, hiszpański. Służył przez czas pewny w armji austrjackiej, jako inżynier wojskowy, a następnie przybył do Francji, przez trzy lata pracował w Paryżu przy fortyfikacjach, tam się ożenił, tam mu urodził się Emil, później wraz z rodziną osiadł w dawnej stolicy Prowancji, Aix (Aquae Sextine), gdzie budował kanał, noszący jego nazwisko. Po śmierci jego towarzystwo budujące ten kanał, zbankrutowało. Skutkiem tego wdowa po Zoli, która miała wiele akcyj tego towarzystwa, wpadła w ubóstwo, co dotkliwie dało się nieraz uczuć Emilowi.

Ośmnastoletnim chłopcem przybył Emil do Paryża, aby własnemi przebijać się siłami. Zdrowia był dość wątłego, w szkołach źle się uczył. Lubił jednak czytać i miał popęd do autorstwa. Trafił nasamprzód do księgarni Hachette'a, następnie został współpracownikiem *Figaro*, lecz nie długo nim był. Przy opowiadaniu, w tem miejscu zacięły się usta Zoli i zaiskrzyły jego oczy. Wiele doznał nędzy i upokorzenia autor *Assommoir'a* od tego czasu. Pisał tu i owdzie, a brakło mu często na chleb. Mieszkał kątem po okropnych dziurach pomiędzy robotnikami, żywił się strawą, którą tylko strasznie głodni jeść mogą, i wówczas to poznał dobrze, czem jest nędza, głód i występek, które tak po mistrzowsku opisał w *Assommoir*. W walce tej nie uległ; przeciwnie, ciało jego zmężniało, charakter zahartował się, umysł spotężniał. Rzucił się zuchwale na przebój i wyszedł zwycięzko.

„Zola jest to młody człowiek, z pięknej i silnej budowy przypominający Wiktora Hugo, lecz więcej otyły; nie bardzo wysoki, prosty jak kolumna; bladość jego odbija szczególnie przy brodzie i włosach czarnych, które jak szczotka sterczą na głowie. Dziwna rzecz, prawie wszyscy, spojrzawszy na portret Zoli, powiadają: postać ta coś mnie znajoma. Twarz ma okrągłą; nos zuchwały; oczy ponure a zarazem żywe, patrzące dumnie i przenikliwie; głowę myśliciela, ciało atlety; a ręce piękne i silne, które są tego rodzaju, że człowiek chętnie ściska je i zatrzymuje w swoich. Na pierwsze wejrzenie, przypomniał mnie swoją *Paszczę Złotą* (Gueule d'or), i mnie się wydało, że z podobnąż łatwością mógłby się popisywać na kowadle. Silną budowę uwydatniał jeszcze bardziej ubiór. Był w pantoflach, bez kołnierzyka i krawatki, w szerokiej i rozpiętej żakietce, z pod której można było widzieć potężną pierś, gotową do walki z burzą nienawiści i gniewów literackich. Przez cały czas, cośmy byli z sobą, nie widziałem, ażeby choć raz się uśmiechnął.“

Ciekawy jest jego proces tworzenia powieści. Wynalezienie intrygi jest dla niego rzeczą najtrudniejszą, i dla tego wcale nie zajmuje się nią. Bierze główną osobę swej przyszłej powieści i rozważa, jaki jej temperament, jakie usposobienie rodziny, z której wyszła, jakie wrażenie najwcześniej mogła otrzymać i w jakiej warstwie społecznej żyć musi. Dalej rozmyśla nad ludźmi, z którymi bohater będzie miał stosunki, nad jego otoczeniem, mieszkaniem, zawodem, obyczajami, sposobem przepędzania czasu. W tym przedmiocie spisuje dawne wspomnienia, odbywa nowe studja w naturze, czyta. Dla każdej z osób działających tworzy osobny formularz i spisuje tam wszystkie swoje spostrzeżenia i uwagi. Bada miejscowość, którą ma opisać, i nawyknienia jej mieszkańców. „Po dwóch lub trzech miesiącach studjów podobnych, zapanowuję nad moim światem. Widzę go namacalnie, czuję, że żyje w mej głowie, i wówczas jestem pewny, że nadam powieści właściwą barwę i woń.“ Dalej osoby wprowadza w ruch, a zamiast wyobraźni pomaga sobie logiką. „Taka to osoba robi to. Co zwykle bywa następstwem tego? Oto, taki fakt. Czy ten fakt może zainteresować tę drugą osobę? Z pewnością. Oczywiście więc, postąpi ta druga osoba tak i tak“. I tak dalej. Czasem nie udaje się Zoli utworzyć naturalnego związku pomiędzy wprowadzonemi osobami; wówczas, namęczywszy się, daje za wygranę całej robocie i czeka, aż mu błyśnie myśl potrzebna, co zwykle po kilku dniach następuje. *Assommoir* najwięcej go umęczył. „Powziąłem myśl napisania powieści o alkoholizmie. Nic nie wiedziałem więcej. Narobiłem mnóstwo notatek o skutkach nadużycia mocnych napojów. Postanowiłem, ażeby pijak umarł taką śmiercią, jaką umarł Coupeau; lecz zanim namyśliłem się, kto ma być tą ofiarą, poszedłem do szpitala Św. Anny,

*

ażeby jak lekarz wystudjować tę chorobę i tę śmierć. Następnie, Gervaise zrobiłem praczką i pomyślałem natychmiast o opisie pralni takiej jaką macie w powieści, pralni prawdziwej, w której nie jedną godzinę spędziłem. Później, nic nie widząc jeszcze o Goujet, którego wymyśliłem następnie, powziąłem myśl skorzystać ze wspomnień o kuźni, w której dzieckiem przepędzałem codziennie pół dnia.“ Porobiwszy odpowiednie studja, przygotowawszy kanwę, wziął się do skreślenia samego wzoru. „Gervaise przybywa do Paryża z Lantier. Cóż może nastąpić? Lantier jest to ladaco, więc ją porzuca. A dalej? Czy uwierzycie, że przez kilka dni nie wiedziałem, co dalej mam z niemi robić?! Wreszcie posunąłem się o krok dalej. Gervaise jeszcze młoda, więc powtórnie pójdzie zamąż. Ożeni się z nią robotnik, Coupeau. Otóż, on umrze w szpitalu Ś-tej Anny. Tu znowu się zatrzymałem. Dla rozmieszczenia należytego obmyślanych osób i scen, dla utworzenia osnowy powieści, potrzebowałem jeszcze jednego faktu, jednego tylko któryby był w ścisłym związku z tamtymi. Te trzy fakty mnie wystarczyły; reszta już była wynaleziona, gotowa, napisana — że tak powiem — w mojej głowie; lecz tego trzeciego faktu nie mogłem znaleść.“ Przez kilka dni chodziłem wzburzony i niezadowolony. Wtem pewnego poranku zjawiła się dobra myśl. Lantier odszukuje Gervaise, przyjaźni się z Coupeau, wprowadza się do jego domu i następstwem tego ruina. Odetchnąłem swobodnie. Powieść była skończona.“

Zola zamierza odwzorować wszystkie strony życia społecznego. Jedna z powieści następnych ma przedstawić życie wojskowe z pochodami i bitwami, w której ma być szczegółowy obraz bitwy pod Sedanem; druga odmaluje walkę kupców, kapitalistów, spekulantów; trzecia opowie dzieje genjuszu, przebojem zdobywającego sławę i w zapasach swoich mającego do czynienia z dziennikarzami, literatami, krytykami i t. d., czwarta obejmie świat kolei żelaznych; piąta — zaczekajmy aż pojawi się trzecia, która prawdopodobnie będzie najciekawsza. Tam dopiero Zola zdruzgocze swoich wrogów, tam błyskawicami swej zemsty oświeci pobojowisko, pełne trupów. Ma już przygotowany ku temu materjał, zawarty w tomiku p. t.: *Mes Haines* (moje nienawiści).

A tymczasem atakowany zewsząd, Zola odbija się jak może. W miesięczniku: *La jeune France* pojawił się artykuł Gustava Rivet'a: O naturalizmie. Autor przychodzi do tego wniosku, że naturalizm prowadzi do ograniczenia polotu umysłowego a więc uboży sztukę. Na to Zola odpowada w ten sposób:

„Zapytujesz pan, czem jest to ograniczenie umysłu, które uboży sztukę? Ograniczenie to jest miłością prawdy, rozszerzeniem wiedzy. Bagatela, jak pan widzisz.

„Zresztą, zadługo byłoby odpowiadać panu na to. Przedstawię tylko pański wniosek: ja — panie — jestem niczem, a naturalizm, wszystkiem; ponieważ naturalizm jest wypływem umysłowości nowoczesnej.

„On to prowadzi wiek, a romantyzm był tylko krótkim perjodem pierwszego rzutu.

„Pan powiadasz, że naturalizm zwęża widnokrąg literacki, kiedy tymczasem otwiera on nieskończoność tak samo, jak wiedza Newtonów i Laplace'ów usunęła poetyczne granice niebios.“

La jeune France wydrukowała tę odpowiedź. Wobec rozgłosu, jaki nabiera szkoła naturalistyczna, zwrócono się do studjów nad Balzac'iem, od którego w najbliższej linji prowadzi ona swój rodowód. Karol de Levenjoul napisał historję dzieł Balzac'a (Histoire des oeuvres de Balzac, 1879 r.), która dla psychologa i estetyka nie jeden ciekawy fakt zawiera. Balzac — można powiedzieć — pisał dopiero swoją powieść w korekcie. Co to za straszna była gmatwawina! Zmiany, poprawki wykreślenia a nadewszystko dodatki. Brzegi korekty nie wystarczały, dodawał jednę, dwie i więcej kartek. Zdarzało się, że zamiast jednego wykreślonego zdania napisał nowych dwadzieścia kartek. W drugiej korekcie znowu rozpoczynała się ta sama historja, i tak przynoszono autorowi kilka korekt, aż wreszcie wygładził ostatecznie powieść.“

I tu nie koniec. Przy nowem wydaniu rozpoczynała się nowa historja. Balzac zmieniał rozdziały, dawał nowe nazwy osobom, wprowadzał osoby, których dotąd nie było, zresztą kreślił, przemieniał, mazał, dopisywał. Umysł czynny wciąż był niezadowolony; widział tam usterki, gdzie tylko jego własne oko dostrzedz je mogło.

Liczba powieści naturalistycznych mnoży się. Przybywają: *Siostry Vatard* (Soeurs Vatard) Huysmans'a. Pewny krytyk powiada, że *Assommoir* wydaje się przy tej powieści, jakoby był pisany dla panienek.

Dwaj pisarze naturalistyczni, Vast-Riconard, których powieść: *Madame Bécart*, pomimo krzyków zgorszenia czyli raczej z powodu tych krzyków, znajduje ogromny pokup, zaczynają wydawać tygodnik p. t. *Revue réaliste*. W pierwszym numerze ma rozpocząć się romans paryski Gabryela Laffaille'a p. t. *Le monsieur de Lolotte*.

B. L.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(*K.*) Odkrycia naukowe mnożą się co dnia. Edison już piórem elektrycznem rytuje na miedzi, Schliman odkopuje starożytną Troję, a jakiś Niemiec w Berlinie mechanicznym sposobem robi kopje olejnych obrazów tak dokładnie, że sami artyści nie mogą odróżnić oryginału swego od takiej reprodukcji. Lecz wszystkie te wynalazki niczem są w porównaniu z odkryciem przez p. ministra Chlumeckiego *języka galicyjskiego*, dotąd i nam Galicjanom i światu uczonemu nieznanego. Mieliśmy co prawda, no i dotąd w resztkach mamy szlachtę, baronów i hrabiów galicyjskich tak obficie wyrabianych w czasach dawniejszych dla podniesienia przemysłu państwowego, mieliśmy Precliczków galicyjskich i inne tego rodzaju urzędnicze produkta, ale nikt z żyjących nie spodziewał się, aby ta nowa generacja galicyjskiej narodowości mogła w niespełna stu latach wyprodukować sobie swój własny język, którego znajomość doszła do wiadomości Jego Ekscelencji pana ministra handlu. Dziwna rzecz jakto prędko człowiek robi się uczonym, skoro zostanie ministrem! Szczęściem, że delegacja nasza w osobie p. Grocholskiego energicznie zaprotestowała przeciw tej ministerjalnej erudycji mniej więcej w tych szorstkich słowach: „Daruje pan minister, że poważę się zwrócić jego łaskawą uwagę na tę okoliczność, że co się tyczy galicyjskiego języka, zdaje się że pan minister jest źle poinformowany, albowiem my Galicjanie mówimy po polsku...“ I proszę sobie wystawić, do jakiego stopnia zuchwalstwo nasze jest tam w Wiedniu tolerowane, że za taką impertynencję p. Grocholskiego w obronie narodowego języka naszego, nie tylko nie odebrano mu głosu, ale nawet nie przywołano do porządku. Któż więc może teraz wątpić o sprzyjaniu naszemu krajowi!

Mimo, a być może, iż z powodu tak szorstkiej odprawy danej p. ministrowi, Akademja krakowska zamyśla zasadzić p. ministra na jednem z wakujących krzeseł w gmachu przy Sławkowskiej ulicy, czyli jak się wyrażał nieboszczyk uczony Linde, wziąć go za swego członka. Cały Kraków już teraz cieszy się tą nadzieją, raz że tam bardzo kochają się we wszelkiej rodowej i naukowej dystynkcji, a powtóre, że tamtejsze finansowe instytucje niezmiernie potrzebują ratunku jakiej finansowej głowy. Wegetujący tam Bank galicyjski dla handlu i przemysłu, coraz bardziej szwankuje. W roku zeszłym akcjonarjuszom swoim pokazał figę w kieszeni zamiast dywidendy, a w tym roku do tej figi przyłączył jeszcze perspektywę niezgorszej straty. I dziwna rzecz, czem to się dzieje, że gdy nasze Banki lwowskie umieszczone wśród zwarcholonej ludności i niekorzystające z cesarsko-rosyjskich biletów kredytowych, dają jakoś po 12% i 15% dywidendy, to tam w mieście tak rozważnem i konserwatywnem, znakomita instytucja handlowo-przemysłowa mając na na rozkazy prasę również słynącą z rozsądku i oględności, daje tak słabe rezultaty dojrzałości finansowej. Okoliczność ta, przynajmny otwarcie, dumą nas napełnia, albowiem powiada pismo św.: „po owocach ich poznacie“. Czyżby i polityka krakowska miała kiedyś podobnego rodzaju wydać owoce?

Nie mając wiele do czynienia u siebie, w tych czasach zaczynamy baczniej śledzić postępowanie naszych antagonistów, i Bogiem a prawdą czynności tej dopełniamy z całem zamiłowaniem. Ot i ta rozprawa uczonego akademika ks. Kalinki o sw. Stanisławie, wywołała tu w poważniejszych kółkach wielkie zdziwienie, jakim sposobem tak wyrafinowany krytyk historyczny i autor „Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta“, mógł odnaleźć przyczynę upadku Polski w obojętności królów polskich dla grobu tego świętego Biskupa. Lecz pokazuje się że i pod tym względem pozostawioną jest Lwowu historyczna reperacja historycznych błędów przeszłości dawnej Rzeczypospolitej. Ksiądz Stojałowski podjął się tej missji, naprowadzając tutejszych pielgrzymów do grobu św. patrona. Jakkolwiek nie jesteśmy zwolennikami tego rodzaju włościańskich wycieczek podczas robót wiosennych, to jednak przyznać musimy księdzu Stojałowskiemu gorliwość w pracy nad oświatą ludu wiejskiego i dzięki temu na proste jego wezwanie zgłosiło się z różnych stron Polski przeszło dwa tysiące pielgrzymów. Daj Boże, aby to tylko wyszło na pożytek sprawy naszej i aby choć w ten sposób dały się rozbudzić uczucia obywatelskie w tych dzielnych sercach wierzącego ludu.

Jak ksiądz Stojałowski urządza propagandy ludowe, z najazdem Wschodu na Zachód, tak znów profesor Nowicki flancuje szlachtę rybną czyli łososie między ruskich prostaków żyjących w Dniestrze. Nie możemy przewidzieć jak się ta stańczykowska propaganda powiedzie we wschodniej Galicji, jednak zwracamy na nią uwagę szanownego posła Zaklińskiego, i spodziewamy się, że przy najpierwszej sposobności podniesie tę okoliczność w Radzie państwa jako dowód nieustannego gnębienia ruskiej narodowo-

ści przez Polaków... Mało im ludzi, wzięli się nawet do spolaczenia ryb we wschodniej Galicji!

Gdy Kraków obchodził doroczną uroczystość akademicką w dniu 3. maja, myśmy tu we Lwowie święcili ośmdziesiątą ósmą rocznicę sławnej konstytucji będącej pierwowzorem niejednej tego rodzaju ustawy w Europie. W napełnionej ludem katedrze, i wśród huku wystrzałów moździerzowych z kopca Unii, odbyło się solenne nabożeństwo. Popołudniu kilka tysięcy osób udało się na górę Wysokiego Zamku, gdzie przy ochoczej muzyce Harmonji, robota około sypania kopca szła żywo do samego wieczora. Nie odbyło się i bez pochodu z pochodniami, a nawet i małych ekscesów ulicznych, którym c. k. policja nie uważała potrzebnem swoją powagą i interwencją zapobiegnąć. Za to wieczorem w sali kasyna mieszczańskiego ścisk był niesłychany: przemawiali panowie, Gros i Romanowicz w słowach do uroczystości zastosowanych, pan Marek odegrał najnowsze rapsodje swego utworu z tematów narodowych, chóry odspiewały pieśni, przeczytano telegramy nadesłane z różnych stron kraju i zagranicy, a wreszcie wygłoszono okolicznościowy wiersz p. Platona Kosteckiego, napisany z werwą i ogniem szczerego patrjotyzmu. Musimy przyznać, że ze wszystkich uroczystości narodowych odbywanych we Lwowie, ta udała się najlepiej podnosząc ducha i rozbudzając słuszną dumę naszą, jako narodu, który pojął i zrozumiał na czem zależy prawdziwa wolność.

A jednak są jeszcze dziś czy tak niedołężne, czy tak ograniczone indywidua, które śmią nam zaprzeczać tego przodownictwa w urządzeniach konstytucyjnych i nie przestają wytykać szlachcie polskiej pańszczyznianych czasów. Pisma moskiewskie znowu w tych dniach napadły na nas, robiąc szlachtę polską propagatorami nihilizmu w Rosji. Prasa warszawska dała im dobrą odprawę za to, a co dziwniejsza, cenzura pozwoliła wyrazić to oburzenie w takim tonie, że nasza c. k. prokuratorja pełniąca te same funkcje, mogłaby się swoich liberalno-konstytucyjnych na prasę poglądów zawstydzić. Swoją drogą, Moskale nie mogą o nas zapomnieć, i mszcząc się za liberalny stan oblężenia, posyłają go na zachód w podmuchu północno-wschodniego wiatru, który dokuczając nam od kilku tygodni, nie pozwala naprawdę rozgościć się wiośnie. Car oswobodziciel drapnął do Krymu, cesarz niemiecki, wysyła mu szablę honorową za oswobodzenie Bulgarji, a ukochana stolica jego oddaną została na pastwę stróżów kamienicznych, którzy mają władzę aresztowania wszystkich bez wyjątku mieszkańców. Piękna perspektywa i piękny wstęp do zrównania stanów wobec przyszłej konstytucji! Lecz co najzabawniejsze, to że zabroniono tam sięgać własną ręką do własnej kieszeni. Wypadek podobny miał miejsce niedawno na audjencji u jenerała Drentelna, gdy jakiś pułkownik potrzebujący chustki od nosa, został schwytany za rękę przez pana jenerała i posądzony o zamiar wydobycia rewolweru. Skutkiem tego waleczny jenerał Hurko ma wydać rozkaz zaszycia wszelkich kieszeni mieszkańcom Petersburga, a prawo sięgania do nich w miarę uznania, zostawione będzie tylko policji, która mamy nadzieję potrafi z tego przywileju skorzystać.

Prócz konfiskat dzienników, majowego nabożeństwa i koncertu p. Barcewicza, we Lwowie cicho, zimno i kuso. Teatr się rozsypuje, opera wybiera się do Krakowa, dramat nie ściąga widzów, a dyrekcja jakoś nie zapowiada nowości. Występy pani Edelsberg niegdyś primadonny Mediolańskiego teatru wcale się nie powiodły, i jeżeli jeszcze sejm na wiosnę nie dopisze, zaczniemy się wynosić za granicę do różnych kąpieli, bo inaczej przyszłoby tu zanudzić się na dobre. Tymczasem jak w pustej stodole, wicher z białym pyłem wyprawia sobie harce po ulicach, a c. k. policja nic mu nie mówi, pomimo, że gotów otumanić głowy ruchliwym Lwowianom i sprowadzić znowu jakąś awanturkę, albowiem napisanem jest, że kto wiatr sieje, zbiera potem burzę.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Wyszła w tych dniach broszura p. t. „Bohater wieku“ pióra p. I. J. Finkelhausa.

Jestto szkic z życia społeczno-politycznego Anglji zajmujący się dziejami obecnego *premiera* Wielkobrytanji, Benjamina Disraelego, lorda Beaconsfielda.

Disraeli, jeden z najprzedniejszych mężów politycznych wieku bieżącego, na tle parlamentarnej Anglji, która ze swej strony przoduje w rozwoju politycznym Europie, przedstawia w broszurze p. I. J. Finkelhausa bardzo ciekawe studjum.

Broszura ukazuje księcia Cypru bez osłonek, pozwala ona widzieć te gwałtowne przewroty i zmiany w przekonaniach i polityce, jakie dyplomata w ciągu karjery swej wielokrotnie praktykował, daje wreszcie ocenić moralną wartość pierwszego ministra w zestawieniu z intellektualnemi jego zasobami.

Przytoczono tu rysy najlepiej charakteryzujące *premiera,* a zestawienie bohatera jego powieści „Vivian Gray“ z nim samym i historja niefortunnych jego starań o krzesło deputowanego wraz z dziejami walki z Pilem, są punktami wytycznemi owej charakterystyki.

Nie możemy się jednak zgodzić na konkluzję, że Beaconsfield „po za kameleonowemi barwami, w jakie się przybierać *musiał,* chował jednak i *swoje ideały.*“

Nie możemy dostrzegać jakiejś nieuniknionej konieczności, prowadzącej „bohatera wieku“ do łamania praw moralności, ani zrozumieć pewnego rodzaju sympatji, jaka ze słów tych ku *ideałom* dyplomaty tchnie.

Punkt to, w którym, zdaniem naszem, autor pobłądził.

Tyle o ostatecznej konkluzji p. Finkelhausa.

Zresztą broszura pana F., napisana żywo i wytwornie, zasługuje na uwagę i jest bardzo zajmująca.

*** W Stratford w hrabstwie Warwick rozpoczęły się w dniu 23 kwietnia dziesięć dni trwać mające uroczystości z powodu 315-letniej rocznicy urodzin Szekspira. W dniu pierwszym inaugurowano teatr wystawiony ku pamięci wielkiego poety, oraz dany był bankiet na 300 osób, w którym uczestniczyli członkowie parlamentu, kilku wyższych duchownych, oraz umyślnie z Ameryki przybyli delegaci. Miasto przyozdobione kwiatami i chorągwiami. Po ulicach przebiegają muzyki, grające pieśni różnych krajów. Wieczorem w teatrze dawano komedję „Wiele hałasu o nic“. Miasto illuminowano. W dniach 24, 25 i 26 puszczano balony, palono ognie sztuczne i urządzano pochody. Dnia 27-go kwietnia przedstawiono „Hamleta.“ Zjazd obcych na tę uroczystość wielki.

*** W Wiedniu zmarł nagle Michał Etienne, redaktor główny i wydawca *N. Fr. Presse,* przeżywszy lat 52. Austja traci w nim jednego z najbardziej wpływowych dziennikarzy, publicystę z krwi i kości. Etienne był dzieckiem Wiednia i do końca życia wiernym mu pozostał, choć od roku 1848, wskutek wydania kilku utworów poetycznych, dłuższy czas tułać się musiał za granicą. Pisał wiele z talentem do *Wanderera, Donau* i starej *Presse.* Dziennik swój wraz z Friedländerem założył w r. 1863. W życiu prywatnem miał wiele zalet; jako kolegę ceniono go w całem dziennikarstwie.

*** W Lille wyszło trzecie wydanie książki napisanej przez p. hr. Drohoyewską (z domu Symon de Patresche), p. t. „Une semaine à Cracovie,“ gdzie się wyraża z wielką sympatją o Galicji.

*** W Pradze Czeskiej, nakładem księgarni Gregra i Dattla, wychodzi „Bibljoteka poezji,“ a w tomie XIV tej publikacji ukazały się: „Ojciec zadżumionych,“ „Jan Bielecki,“ „W Szwajcarji,“ „Arab“, „Mnich“, „Lambro“, tudzież krótki życiorys, Słowackiego przez Ottokara Mokrego.

*** Praca p. Stanisława Rychlińskiego, p. t. „O przekształceniu kwadratowem“, mieścić się będzie w Pamiętniku Tow. Nauk Ścisłych w Paryżu.

*** Na posiedzeniu wydz. nauk przyrodniczych Poznańskiego Tow. P. N. Dr. Sompołowski czytał o roślinach mięsożernych“.

*** Stopień doktora praw otrzymał na Wszechnicy Jagiellońskiej p. Marcoin z Warszawy.

*** Na posiedzeniu Tow. N. Poznańskiego czytano rozprawę „Koniec zawodu Radziejowskiego 1704—1705“.

*** Tow. Krakowskie Politechniczne debatowało nad połączeniem się z takiemż towarzystwem lwowskiem, a p. Brzeziński odczytał rzecz „O kanalizacji miast.“

*** W Paryżu 1-go maja, ukazał się nowy tygodnik satyryczny, polityczny i illustrowany *Petit Communard.*

*** W Mikołajewicach, pod Buskiem, znaleziono ślady przedchrześciańskiego cmentarzyska.

*** „Taniec z mieczami“, Siemiradzkiego z Paryża, wystawiony będzie w Warszawie.

*** Andriolli narysował kredką szereg typów kobiecych z poezji Mickiewicza.

*** Brandt, osiadły w Monachium, maluje obecnie „Wyprawę na polowanie“, oraz „Bałagułę żydowskiego.“

*** Na Wystawę Powszechną Monachijską Józef Brandt przygotował „Bitwę Koniecpolskiego z tatarami pod Martynowem“, Kozakiewicz „Pierwsze Kroki,“ Streit „Czterech muzykantów wracających z zabawy rankiem zimowym.“

Prasa perjodyczna.

*** Pierwszy numer pisma „Mody Paryzkie“ wyszedł z druku.

*** Pierwszy z bieżącego kwartału numer Gazety Rolniczej wyszedł pod redakcją p. Trylskiego.

*** W N-rze 14 Ekonomisty mieści się kompetentny artykuł p. Jana Blocha „Przypuszczalny wpływ projektowanego cła w Niemczech na ruch towarowy na drogach żelaznych w Królestwie Polskiem i Cesarstwie“.

*** W 2-gim zeszycie pisma „Russkij Filologiczeskij Wiestnik“ mieszczą się „Cztenia o staropolskoj pismiennosti“, W. W. Makuszewa.

*** Wychodząca w Warszawie gazeta w języku rossyjskim „Zapadnaja Poczta“, straciwszy swój kapitał 4,000 rs., przestała wychodzić.

*** Echo otrzymało zezwolenie władzy na wydawanie dodatku codziennego, który ukazywać się będzie, codziennie, bez wyjątku świąt i niedziel, a w dnie kiedy gazeta nie wychodzi, zawierać ma także telegramy polityczne. Dodatek ten, o ile nam dotąd wiadomo, ma być poświęcony beletrystyce i działowi powieściowemu i prawdopodobnie w następnym kwartale wychodzić zacznie.

*** Szkoła, czasopismo pedagogiczne, wydawane we Lwowie, zawiera: „O wychowaniu dziecka głuchoniemego i ślepego“ p. St. Vecklerowa.

*** Redakcja „Lecha“ w Poznańskiem, poświęciła 11. numer swego pisma wyłącznie J. I. Kraszewskiemu.

*** Ruchu ekonomiczno-społecznego Nr. 12 zawiera: Kredyt i banki (z papierów pośmiertnych Rakowicza). Zarząd i kontrola w Stowarzyszeniach, albo w spółkach pożyczkowych. Roczne walne zebrania Banku włościańskiego w Poznaniu.

*** Gazeta Kielecka rozpoczęła druk „Solony Placek,“ gawęda przeszłości, przez P. Jaksę Bykowskiego.

⁂ Gazeta Sądowa warszawska drukuje ciekawy artykuł Karola Dunina „Prawo własności.“

⁂ W *Wieku* znajdujemy obszerny artykuł p. Jana Jeleńskiego p. t. „Piętnaście lat samorządu gminnego.“

⁂ *Ateneum* w zeszycie za miesiąc Maj zawiera: Sądy gminne przez Karola Dunina; Kasia i Marynka z papierów pozostałych po Gabryelli; Przed Grunwaldem, przez Dr. Ant. Prohaskę; Ludy pierwotne południowej Afryki, przez Dr. A. Rehmana: Herburt Spencer — III. Zasady Biologji, przez Wł. Kozłowskiego; Dydaktyczna poezja hebrajska, przez I. Radlińskiego; Ludność polska w Biskupstwie Warmińskiem, przez Dr. W. Kętrzyńskiego; Kronika naukowa, przez B. Abakanowicza; Kronika miesięczna.

⁂ *Przegląd Polski* w zeszycie za miesiąc Maj zawiera O „Horsztyńskim“ Słowackiego przez Stanisława Tarnowskiego; Persowie, tragedja Aischylosa, w przekładzie Józefa Szujskiego; Geneza nihilizmu w Rossji przez Ludwika Kozłowskiego; Szkice z podróży do południowej Afryki, odbytej w latach 1875 do 1877, przez Ant. Rehmana; Przegląd literacki przez Dr. P. Romana Nałęcza i Dr. ...r.; Biblja, Talmud i Ewangelia, przez rabina Eliasza Sołoweyczyka; Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu Rok 1875—1878; Dr. J. Tr. v. Schulte'go, tajnego radcy i profesora prawa w Bonn, Zasady prawa kanonicznego o małżeństwie, przełożył Dr. Gustaw Roszkowski, Przegląd polityczny przez Aleksandra Szukiewicza.

Wiadomości społeczne, przemysł i handel.

⁂ Towarzystwo Polskie w Odessie złożyło 1000 rs., z celem przeznaczenia tego funduszu na wydawnictwa ludowe do dyspozycji Kraszewskiego, jako jubilata. Zacna myśl.

⁂ Towarzystwo Polskie z Irkucka przesłało 850 rs. na stypendjum J. I. Kraszewskiego, a lekarze i farmaceuci Polacy w szpitalu w Szumli 120 rs. na tenże cel.

⁂ Sprzedaż pierwszych siedmiu tomów wydawnictwa jubileuszowego dzieł J. I. Kraszewskiego przyniosła dotychczas 12,000 rs. czystego dochodu, fundusz ten złożony jest na procent w kasie warszawskich przemysłowców.

⁂ Z Reichenberga donoszą, iż tamże spalił się teatr miejski. Budynek był ubezpieczony. Szkody jednak znaczne, gdyż spaliła się garderoba i różne rekwizyta.

⁂ Woda pod Szegedynem nie ustępuje; dziś jest ona tylko o stopę niższą jak w chwili katastrofy.

⁂ Desinfekcja listów w urzędach pocztowych pogranicznych w Szczakowej i Podwołoczyskach ustała.

⁂ W Genui zmarł książę Roxburghe, par Szkocji. Był to jeden z największych właścieli dóbr ziemskich. Jego dobra, położone w południowej Szkocji, obejmują 21,000 hektarów i przynoszą 2 miljony franków rocznego dochodu. Ks. Ruxburghe miał zaledwie lat 7, gdy odziedziczył fortunę i tytuły po rodzicach.

⁂ Na posiedzeniu kongresu lekarzy chorób dziecinnych w Berlinie przedstawił prof. dr. Winckel z Drezna spostrzeżenia nad nową chorobą epidemiczną dzieci. Głównemi cechami tej choroby jest rozkład krwi, wypływanie z ust śluzu i objawy konwulsyjne, wśród których dziecię umiera. Na 23 dzieci zapadłych na tę chorobę umarło 19. Trwanie choroby przeciętnie można oznaczyć na 32 godzin. Prof. dr. Winckel proponuje nadać chorobie nazwę: *Cyanosis afebrilis icterica perniciosa cum hæmoglobinuria.*

⁂ W saratowskiej gubernji utworzyła się nowa sekta, której zwolennicy zwią się „gołąbkami“. Odznaczają się oni szczególniej pobożnem życiem, uczęszczają gorliwie do kościoła i noszą białe suknie na pamiątkę objawienia się Ducha św. w postaci białego gołębia. Szczególną odrazę czują do sukni kolorowych, będących, według rozpowszechnionego u nich przysłowia, oznaką, iż dusza skłania się ku Antichrystowi.

⁂ W Berilnie w obecności ministrów, starz. burmistrza miasta, wielu znakomitości, przedstawicieli władz miejskich i licznej doborowej publiczności, otwarto onegdaj uroczyście berlińską wystawę przemysłową.

W Berlinie według urzędowych danych, zawarto w roku 1878 w całem państwie niemieckim 347,810 małżeństw. W tymże czasie urodziło się 1,818,550, a umarło 1,293,692. Ogólna ilość mieszkańców wynosiła 43,637,387 osób.

⁂ Ministerstwo spraw wewnętrznych wydało rozporządzenie, znoszące wszystkie ograniczenia, dotyczące podróżnych z Rossji i Bułgarji na granicy austrjackiej.

⁂ Dzienniki Poznańskie konstatują zwiększające się z każdym dniem wychodźctwo robotników niemieckich do Królestwa.

⁂ Posąg Gladstone'a, dłuta Teed'a, ustawiony został w halli miejskiej m. Manchester. Mąż stanu wyobrażony jest jako przemawiający do zgromadzenia. Podobieństwo uderzające.

⁂ Targ na konie udał się tu świetnie. Sprowadzono ich przeszło 3,000. Wielu obywateli z Królestwa Polskiego przybyło z wyborowymi rumakami.

⁂ Słynny koń węgierski „Kincsem“ odniósł na torze presburskim zwycięztwo; jest to już 45 z rzędu nagroda tej klaczy, która nigdy dotąd nie była pobitą.

⁂ Rząd Republiki meksykańskiej postanowił urządzić wystawę międzynarodową. Odbędzie się ona w mieście Meksyku w roku przyszłym. Wystawa obejmie płody rolnictwa, przemysłu, umiejętności i sztuk.

⁂ Rada municypalna paryska rozpisała konkurs rzeźbiarski na wykonanie posągu Rzeczypospolitej, mającego stanąć na placu Chateau-d'Eau.

⁂ W pałacu przemysłowym w Paryżu robione są próby oświetlenia elektrycznego; oświetlenie to użyte zostałoby w salach wystawy sztuk pięknych, któraby w ten sposób mogła być otwartą do dziesiątej wieczorem.

⁂ W Liege odbywają się posiedzenia kongresu rolniczego narodowego.

⁂ W Orleanie sala, w której się znajdowały ognie sztuczne, przylegająca do Chateau-Neuf, eksplodowała. Kilka osób ciężko ranionych. Wybuch ten wywołał silne wrażenie, gdyż obawiano się o magazyny prochu w Chateau-Nef się znajdujące.

⁂ Z cesarstwa marokańskiego donoszą, iż wskutek nędzy i głodu panującego tam w roku ubiegłym szerzą się obecnie choroby epidemiczne, liczne zabierające ofiary. Choroby te panują nietylko wewnątrz kraju, lecz i w portach nadbrzeżnych. Biedę powiększają jeszcze częste napady pokoleń beduinów docierających do bram miast.

⁂ W dobrze poinformowanych kołach mówią o zwinięciu od roku szkolnego 1881 akademji gospodarczej w Proszkowie.

⁂ Zamieszkała w Warszawie kolonia poddanych austrjackich, korzystając ze zgromadzenia się celem podpisania adresu do cesarza austrjackiego, postanowiła zawiązać stowarzyszenie pomocy, czyli kolonję na wzór szwajcarskiej i francuskiej.

⁂ W Lyonie 1,200 robotników pracujących w zakładach tkackich pp. Jaubert, Andras et Comp. opuścili warstaty, kładąc za warunek powrotu aby pracodawcy powrócili do taryfy z roku 1869. Zmowa rozszerzyła się na kilka fabryk. Porządek niezakłócony.

⁂ Wojenny balon angielski „Talizman“ przy napełnianiu go gazem urwał się z lin. Balon miał objętości 19,000 stup kubicznych. Wzbiwszy się szybko w powietrze, po pewnym czasie zupełnie stargany spadł do Tamizy.

⁂ W Warszawie założono fabrykę kosmetyków p. Majewskiego.

⁂ Założono w Warszawie fabrykę cygar „Ismir“.

⁂ Dyrektor Spółki Jedwabniczej w Warszawie, znów przypomina korzyści tego przemysłu, z powodu zapotrzebowań zagranicznych na jajeczka i kokony.

⁂ Rolnicza szkoła w Wschowie liczy 43 uczniów, a w tej liczbie 10 Polaków.

⁂ Paryzkie Stowarzyszenie b. uczniów szkoły Batignolskiej obchodziło uroczystość śmierci Juljusza Słowackiego, na którym to obchodzie p. Gasztowt miał odczyt o znakomitym twórcy Lili Wenedy.

⁂ Inspekcje sanitarno-policyjne od strony Austrjackiej zniesione zostały i tylko pozostał jeszcze warunek wizy, że podróżni w ciągu 20tu dni ostatnich w okolicach gdzie panowała dżuma, nie znajdowali się.

⁂ Wychodźctwo do Ameryki znów zaczyna wzrastać; w 1877 r. wynosiło 130,503, a w r. 1878 już 153,207, najwięcej dostarczają Niemcy (31,958).

⁂ W Opolu, na Szlązku, tameczni przełożeni szkół podali petycję do ministerstwa z żądaniem, aby nauczyciele i inspektorzy mianowani, posiadali *koniecznie* język polski, celem możności porozumienia się z dziećmi.

⁂ Kolej Poznańsko-Kołobrzeska oddaną będzie 15. maja do użytku publicznego

⁂ W tych dniach odkryto rudy złota w Kansas, 30 mil od Wichita w kierunku południowo-zachodnim. O natrafieniu tem dowiedziała się pewna kompania z New-Yorku i zakupiła jedną milę kwadratową a rozpocząwszy robotę wydostała z jednej tuny rudy złota za przeszło funt. st. 2000. Farmerowi, do którego ów grunt należy, a który przed kilku laty wziął od rządu 80 akrów za opłaceniem kosztów pomiaru i wpisu funt st. 16, kompania zapłaciła funt. st. 30.000.

ROZMAITOŚCI.

⁂ Taki silny człowiek a chodzi żebrać! Nie wstydzicie się? pracujcie raczej!

— Pracować! czy macie dla mnie jaką pracę?

— Mam i na dłuższy czas.

— Przecie słyszę wszędzie, że trudno dostać pracy.

— Ale ja mam robotę dla was.

— Jaki to świat przewrotny! inni ludzie szukają pracy a nie znajdują; ja pracy nie szukam, a znajduję ją! — Ale co to gadać daremnie, ja szukam jałmużny, dajcie mi ją. abym mógł odejść, a przyjdzie inny, który szuka pracy, temu dajcie pracę.

⁂ Sprawa o... uwiedzenie.

Adwokat broni podsądnego z zapałem.

Oto jego przemowa:

„Prześwietny sądzie! Ja znam tylko trzy sposoby uwiedzenia: piękną powierzchowność — rozum — i pieniądze. Co się tyczy piękności, to dość spojrzeć na szkaradną gębę mego klijenta, ażeby się przekonać, że jestto wprost niemożliwe. O rozumie jego dokładne zapewne potrafiliście wyrobić sobie pojęcie z odpowiedzi, nic głupszego nad które nie można wymyślić. Wreszcie, co się tyczy pieniędzy, to na nieszczęście nie ma on nawet tyle groszy, ażeby zapłacić mi za obronę i dla tego zmuszony go jestem bronić z polecenia sądu. W ten sposób — prześwietny sąd nie wątpi chyba o tem — występek nie mógł być przez klienta mego popełniony, dla zupełnego braku środków po temu. Na zasadzie więc powyższego śmiem prosić o uwolnienie mego klienta od wszelkiej odpowiedzialności.“

Sąd uwolnił od zarzutów klienta, który jednak za obronę... nie obraził się!

⁂ Dla myśliwych.

Pewien miłośnik przyrody, zamieszkały w Straza, na Bukowinie, opowiada w wiedeńskiej *D. Ztg.*:

„Straszliwe spustoszenia, jakie zrządziły na Węgrzech powodzie, widocznie sprawiły wielkie, deprymujące wrażenie i na tych pierzastych mieszkańcach oraz skrzydlatych gościach owych okolic. gdyż tej wiosny już dnia 16 i 18-go marca przebyły Karpaty w tłumnych i bezładnych gromadach niezliczone stada wszelkiego gatunku i rodzaju ptaków wędrownych, a to pomimo szalonych burz ekwinokcjalnych, w następstwie których spadły wielkie śniegi

Z okoliczności, iż skrzydlate owe gromady przedstawiały nader mięszane towarzystwo, można wnosić, iż pochód tych biednych stworzeń przez Karpaty był raczej ucieczką. na jednym bowiem ciągu mogłeś widzieć i bekasy błotne, i kuliki, kurki wodne i czaple, pod przewodnictwem kilku szpaków, to znowu na innym ciągu kaczki dzikie i czaple pod przewodnictwem polnego bekasa, to nareszcie dzikie gęsi w towarzystwie wielkich stad zięb i kilku bekasów leśnych.

Nadto widziałeś w gromadach takich wielką niekiedy ilość kosów różnych, ptaków śpiewających, a w końcu pojawiły się także różne rodzaje ptaków drapieżnych.

Wszystkie ptaki błotne i wodne osiadły na brzegach rzeki Suczawy i jej potoków, lecz nadaremnie szukały tu pożywienia, ponieważ wszelkie żyjątka wodne ukryły się przed zimnem.

Smutny zaiste widok przedstawiali ci biedni wędrowcy, kiedy po uciążliwej w najwyższym stopniu podróży biedactwo wśród szalonej zamieci śnieżnej i pięciostopniowego mrozu trzy dni siedzieć musiało nad brzegiem lub na kamieniach wśród rzeki, bez pokarmu, omdlewające z zimna i wycieńczenia.

Dubelty i krzyki, w gromadkach po 10 do 20 sztuk, tuląc się do siebie pozwalały ludziom zbliżać się do siebie na dwa kroki i wcale nie polatywały, biedne szpaki chwytano rękami na stertach gnoju, a kiedy je przyniesiono do ogrzanój izby, ginęły natychmiast.

Fatalna, smutna dla ptaków wiosna".

*** Wiadomo, że sławna autorka Sarah Bernard jest niezmiernie chudą.

Posiada ona jednak mnóstwo wielbicieli, pomiędzy którymi odznacza się jeden z malarzy francuzkich nowej szkoły.

Wspominając o tem dowcipny feljetonista francuzki w swoim feljetonie z wielkiego piątku pisze:

„P. O**, chcąc suszyć przez cały dzień wczorajszy, zakupił fotografję Sary Bernard i zjadł ją... pocałunkami."

ŻONA POLEGŁEGO

Nowella węgierska

MA RYCEGO JOKAYA

przełożył

ALEXY MINZ.

I.

Czterdziesty drugi batalion i polscy ochotnicy sami zostali tylko na polu walki. Reszta wojska rozbita w ucieczce.

Jeden kapitan gwardji jednak odłączył się od uciekającej swej kompanii i pozostał; oderwał szlify, a porwawszy porzucony karabin, wcisnął się w szeregi walczących jako szeregowiec.

Głośno rozległa się pieśń polska: „Boga Rodzica Dziewica" a wtórował jej huk dział, tentent koni i ciągłe hurra nieprzyjaciela.

Garstka walecznych szła ciągle dalej, śpiewając, a dopędzona przez ścigającego ją nieprzyjaciela, obracała się, dawała ognia i stawała do boju z najeżonym bagnetem. Potem szła znowu dalej, śpiewając spokojnie swą pieśń bojową; nie zważając wcale że w około niej huczały działa i świstały kule.

Jeśli mała ta garstka, nie zdoła oprzeć się, cała armia przepadła.

Ona też sama wstrzymała ścigającego nieprzyjaciela, któremu dziesięćkroć liczniejsza od niej armja nie zdołała stawiać oporu przez niespełna godzinę.

Biła się ona do poźnej nocy, wszyscy prawie są ranni, zabitych jednak nie ma.

Wtem wpada na nią nieprzyjacieska konnica; walka wszczyna się krwawa, słychać szczęk krzyżujących się pałaszów i bagnetów; walczących otacza chmura pyłu i dymu; zaledwie można rozpoznać sztandary.

Bój zwolna ustaje, nieprzyjaciel trąbi do odwrotu; garstka walecznych posuwa się dalej nienaruszona; konnica nieprzyjacielska powraca, a pole zostaje próżne, martwe. Gdzieś daleko widać uciekające wojska, jakby chmurę silnym pędzoną wiatrem.

W zdeptanej, potratowanej trawie leży mężczyzna; twarz jego konająca, zwrócona ku niebu, w zapadającej źrenicy odbija się smętny blask przedśm ertny, wzdłuż niebieskiego dolmanu, płynie krew czerwona, ciepła, a po jego twarzy, mężnie pięknej przebiega bladość śmiertelna.

Raz jeszcze usiłuje podnieść się z ziemi, nie może! upada, a z bezwładnej dłoni wypada mu szabla.

—Hermino! — szepcze w ostatniej chwili, zanurza twarz swą w trawie, a szukając wyciągniętą ręką szabli, kona z ukochanem imieniem na coraz więcej bledniejących ustach.

Żołnierzem tym, jest wyżej wspomiany kapitan gwardji.

A w dali, coraz słabiej rozlega się pieśń bojowa.

II.

Od czasu przegranej pod Budamér upłynął miesiąc. Głównodowodzący węgierski, wraz z całem swem wojskiem, stoi w Szemnicach, otoczony zewsząd przez nieprzyjaciela.

Na cztery rozmaite strony próbował się przebić, na wszystkich czterech stronach droga dlań zamknięta; nigdzie żadnego wyjścia!

Przy ostatnim ataku, mało co sam życia nie stracił, najlepszy jego przyjaciel padł przy jego boku, pod nim zabito konia. Huzar doń przypadł, ujął go za rękę, podniósł i przemocą z pola walki uprowadził.

Będąc już w namiocie, porucznicy zwrócili jego uwagę na przedziurawione czako. Zdjął je z głowy i oglądnął. Między różą a jabłkiem przeszła kula.

„Dlaczegoż nie o cal niżej?" rzekł wódz smutno, a po tylu dniach i nocach, pełnych trudu i znoju, siadł na łóżku, by marzyć... o czem?

O samej północy, zbudził go porucznik ordynansowy, i zawiadomił go, iż jakaś kobieta chce się z nim natychmiast widzieć.

Wstał, nie potrzebował się ubierać, gdyż sypiał zawsze w ubraniu, i dał znak iż wejść wolno.

Kobieta zameldowana weszła. Była ubraną w czarną suknię, żałobny welon przy czarnym kapeluszu, twarz jej była smutną i nader bladą.

Piękna i wspaniała jej postać, poważne regularne rysy, oczy jej, otoczone wielkiemi ciemnemi brwiami, były wodzowi, jakby gdzieś znane.

Tak! Na wskróś przeszywający wzrok ciemnych tych oczu, alabaster tego czoła, usta, cała ta twarz są dlań wspomnieniem z czasów dawnych, nowym jest tylko smutek i dziwne jakieś zmarszczki na czole, udzielające całej tej twarzy jakiegoś groźnego, zwiastującego nieszczęście wyrazu.

Wódz zbliżył się do niej. Kobieta stała dłuższy czas milcząc, nie mogąc wymówić słowa.

—„Tyż to Hermino odwiedzasz mnie w tej przeklętej godzinie?"

— Chcę z panem pomówić — odrzekła zimno kobieta siadając spokojnie na krześle, wskazanem jej przez jenerała.

Ten, skrzyżował ręce na piersiach i stanął naprzeciw niej, wpatrując się nieruchomie w jej na niego zwrócone oczy.

Twarzy obojga, były blade, blade jak ściana.

— „Arturze" — rzekła pełnym, dźwięcznym, a jednak zimnym głosem—„Arturze, nie widzieliśmy się już oddawna, wtenczas bawiliśmy się kwiatami,.... kwiatami wtenczas, a teraz, życiem i śmiercią! Postarzałeś się Arturze bardzo, ale ja jeszcze więcej! Patrz pan, jestem wdową!"

— „Będzie nią też wkrótce moja żona" — przerwał jenerał gorzko.

— „Mąż mój poległ w bitwie"—ciągnęła dalej — „na wolnem szerokiem polu chwały, nie opłakiwałam go, bo wiem za co poległ".

Ciało jego okupiłam złotem. Gdy go przyniesiono do domu, obwiniętego płaszczem, drzałam na myśl, iż jest bardzo pokaleczony. Może mu głowę odcięto? twarz zeszpecono? Lecz nic podobnego nie było! Zostawiono mi go całego. Każdy rys jego twarzy był świadectwem pieczęcią śmierci stwierdzonem, iż padł mężnie, jako bohater. Jedną tylko miał ranę, z przodu na piersi. Tylko mojej obrączki nie widziałam na jego palcu! Obrączki ślubnej, którą włożył przystępując ze mną do ołtarza, i którą odtąd zawsze nosił. Zaledwie kilka dni temu, widziałam pierścień ten na palcu mężczyzny! Młody porucznik od Kroatów, zakwaterował się u nas. U niego to właśnie ujrzałam moją obrączkę ślubną."

— Może odkupił ją, od któregoś ze swoich żołnierzy?"

— „Nie! Mówił iż zdjął ją z palca naszego żołnierza, którego sam zabił."

— „Powiedziałaś mu, iż żołnierz ten, twoim był mężem?"

— „Ani słowa! Porucznik ten jest młodym, przystojnym mężczyzną, blada jego twarz oszukuje każdego który go widzi, pozorną potulnością, a oczy mdławe, niebieskie, nie zdradzają wrzącego w niuch ognia.

— „Zakochałaś się w nim?"

— „On we mnie. Obsypuje mnie pochlebstwami, wyznał mi swoją miłość, słowem jest we mnie zakochany szalenie.

— „Wyjdziesz więc za niego?"

— „Zabiję go!

— „ Nie rozumiesz ty tego rzemiosła, biedna kobieto!

— „Prawda!... Gdybym do tego dosyć miała siły, mogłabym to już uczynić dawno,... stał przedemną, spał w moim domu,... potrzebowałam tylko chcieć, a byłabym w jego pokoju. We śnie mogłam go była zabić, ale to wszystko na nic, ja tego nie potrafię. A jednak chcę, żeby zginął!"

— „Jeśli jest dobrym żołnierzem, może mu się to wkrótce wydarzyć."

— „Ależ ja nie chcę, żeby poległ jako dobry żołnierz!... Niech zginie przezemnie, ale nie dla chwały,... nie na polu sławy, lecz na najstraszniejszem ognisku śmierci... Niechaj na rusztowaniu życie zakończy!"

— „Biedna kobieto! Boleść zamąciła ci zmysły."

— „Panie Jenerale! Byłeś najlepszym przyjacielem mego męża. Arturze! Jeśli mówię, iż żądam zemsty, za przelaną krew jego, czyż mam szukać daleko tego, kto zemstę tę spełni?"

— „Hermino! Uspokój się. Szanuję Twą boleść. Męża twego czciłem, a gdyby mi było danem w tej chwili, niektórych żałować, jegobym opłakiwał. Ale, czy możesz mniemać, żebym ja z całem, poruczonem mnie wojskiem, mścił się za kogoś, choćby za najlepszego mego przyjaciela, brata, ojca rodzonego? Czyż możesz przypuszczać, ażeby celem mojej armji było, szukać i ścigać człowieka który zabił twego męża? A gdybym go nawet i znalazł, czyż mógłby prawy żołnierz, miałby on sumienie odebrać drugiemu dobremu żołnierzowi życie, za to, że w bitwie, w otwartem polu, zabił on kogoś. którego ja kocham? Ty, możesz to uczynić i tego żądać, ponieważ jesteś kobietą i żoną, ja nie, gdyż jestem żołnierzem i wodzem!"

—„Jenerale! Masz mnie za szaloną,"—rzekła podnosząc wielkie, ciemne swe oczy. „Ja nie żądałam, ażeby człowieka tego ścigano, ja go tu przyprowadzę! Sama podam powody, ażebyś mógł skazać go na śmierć, wedle prawa wojennego. A niech plan mój potrwa i rok cały po roku musi się udać! Przyprowadziłabym go tutaj, i powiedziałabym: Człowiek ten przewinnił to i to! Sąd wojenny, stosownie do ustaw, skazałby go na śmierć. Ty, Jenerale, nie miałbyś, jak tylko wyrok potwierdzić i powiedzieć mu. Łaska w ręku Boga. Powiedzieć mu zaś w chwili, gdy go na śmierć prowadzić będą: Nie giniesz w t k nędzny sposób, z powodu twoich przestępstw. Nie! ja, ja sama, zabijam ciebie, za przelaną krew mego męża byłoby już rzeczą moją!"

— Hermino! Jesteś szczęśliwą, z twoją nienawiścią. Masz plany zemsty na rok cały!... Ależ, po roku, gdzie my już będziemy? Kto z nas pozostanie?"

— „Gdy już więcej nie będziemy, przestaniemy i czuć, a na to się zgadzam. Nie obawiam się śmierci, ani nie drżę przed nią, ale dokąd żyję, zapomnieć nie mogę!"

—„Dobra moja Hermino! Mówiłaś mi dósyć o twoich cierpieniach i zmartwieniach, pozostaw mie teraz samego, z mojemi! Ja również mam zabitych, bardzo wielu nawet, a będę ich miał niestety jeszcze więcej."

— „Nie opuszczę Cię! Wiem o wszystkiem, co się z tobą stało, i albo się poddasz, albo przepadłeś wraz z całem twem wojskiem! Przez trzy nocy już, zwiedzam obóz nieprzyjacielski, przebrana to za markietandkę, to za dziewkę, raz nawet za mężczyznę. Ze wszech stron jesteś obsaczony, i drogi dla ciebie zamknięte. Wczoraj gdy cię odparto od mostu miałeś jeszcze szczęście mogłeś albowiem tam przepaść. Wąwozu przejść nie możesz. Równina koło Szelakny tak jest obsadzoną działami, że musiałbyś tam stracić połowę armji, i jeszcze byś się nie przebił. Ale, gdybyś mógł wpaść na kark baterjom, droga z tamtej strony byłaby całkiem wolną; gdyż z tamtąd aż do gór Branyiskich, żadna miejscowość nie jest obsadzoną. A nie potrzebujesz więcej, jak dwa bataljony i kilka sześciofuntówek rzucić mu na tyły.

Wódz uśmiechnął się gorzko.

— „Przez powietrze nieprawdaż?"

— „Nie! popod ziemię."

Słowa te wyrzekła tak serjo, że jenerał zaprzestał się uśmiechać; a kobieta mówiła dalej:

— „Tak, popod ziemię! Przypominam sobie jeszcze z lat dziecięcych, iż nieraz biegałam po tych górach z mojemi towarzyszkami, i często napotykałyśmy u boku tej góry na podziemny tunel, w którego otworze, bawiłyśmy się w chowanego. Jednego dnia zaczepili nas rozpustne chłopcy. Rozbiegłyśmy się na wszystkie strony. Ja, uciekłam do tunelu. Kilku chłopców puściło się za mną. Uciekając, znalazłam się w jaskini. Mimo to biegłam dalej, niskim... dosyć szerokim korytarzem, zapuszczając się coraz głębiej wewnęrz. Krzyk chłopców prześladował mnie, a stawał się o wiele straszniejszym, odbity o ściany tunelu. Wstrzymując oddech biegłam wciąż dalej, pociemku, na oślep, nie zważając na kamie-

nie i dziury, których tam było mnóstwo. Mniej obawiałam się ciemna i samotności, jak tych chłopaków i dla tego też biegłam ciągle naprzód. Wtem wydało mi się, jakgdybym ujrzała przed sobą światło. Daleko, bardzo daleko, migotało słabe jakieś światełko. Przyspieszyłam kroku w tym kierunku; jasność zdawało się zbliżać. Było to światło zewnętrzne, chcące przeniknąć okropną ciemność podziemną, wśród której się znajdowałam. Po godzinnym prawie biegu, byłam na drugiej stronie tunelu, i doprawdy, nie odważyłabym się drugi raz przejść sama tą drogę, którą wtenczas z bojaźni tak prędko przebyłam.“

Jenerał przysłuchiwał się uważnie i wyczekująco słowom kobiety.

— „Po wyjściu z jaskini ujrzałam przed sobą, gęsty ciemny las sosnowy, w którym nigdzie drogi zobaczyć nie mogłam. Zapłakana usiadłam na pniu, i tam też znaleźli mnie robotnicy z hut, którzy zaprowadzili mnie boczną drożyną do najbliższej wioski.“

— „A nazwa tej wioski?“ — przerwał jenerał niecierpliwie.

— „Szelakna!“

Twarz wodza zdawała się rozognioną, oczy błyszczały, przystąpił bliżej do kobiety i ścisnął ją serdecznie za rękę.

— „Mów, opowiadaj dalej!“ — rzekł a usta jego drżały z radości.

— „Mój dziadek, profesor historji powszechnej, któremu całe to zdarzenie opowiedziałam, zamiast mnie skarcić, czegom się właściwie obawiała, zdawał się być mocno uradowanym z tego odkrycia, i o ile sobie przypominam, rzekł tryumfująco: Jest to zapewne tak zwana *Ścieżka Kurudzka*, którą przeprowadził Franciszek Rakoczy II, po pod ziemią, swoje ze wszech stron otoczone wojsko; podobnie jak teraz twoje jenerale! Podobne opuszczone jaskinie w kopalniach, trafiają się często i gdzie indziej. Są to tak zwane „*Szyby główne*“, któremi spuszcza się wody z kopalń wyżej położonych. Gdy jednak tworzy się inna szyba, jeszcze niżej położona, wtenczas opuszcza się je, i zapomina o nich całkiem; co dzieje się także w razie, gdy kopalnie znajdujące się po nad temi szybami, żadnej już więcej korzyści nie przynoszą.“

— „A ty myślisz, iż oprócz ciebie nikt nie zna tego tunelu?

— „Otwór jego, może; lecz nikt nie wie, iż prowadzi on, na drugą stronę góry, gdyż z tamtej strony otwór tak jest zasypany, iż z zewnątrz zaledwie go można rozpoznać. Dziadek mój zachowywał, odkrycie to aż do zgonu w tajemnicy z powodu tej tak częstej i uczonym właściwej zazdrości.“

— „Czy mogłabyś mie tam zaprowadzić?“

— „Właśnie w tym celu przyszłam tutaj. Nie, ażeby nudzić Pana mojemi skargami, lecz by Ci dopomódz. Proszę za mną.“

Owinęła się w płaszcz. Wódz przypiął szablę. Dwóch poruczników ordynansowych, postępowało za nimi, z pochodniami; i tak szli w milczeniu, wpośród zimowej nocy.

Ziemia była biała, niebo czarne. Okolica pusta i niema po wrzącym boju.

III.

Z nadzwyczajną znajomością miejsca i drogi prowadziła kobieta naczelnego wodza.

Szli spiesznie jedno obok drugiego. Cała ich rozmowa składała się z pojedyńczych urywanych, krótkich zdań.

Przy jednym z licznych skrętów góry, kobieta zatrzymała się, odebrała jednemu z ordynansów pochodnię a dając drugą wodzowi, zrobiła znak, żeby wrócili do obozu.

Jenerał spojrzał na nią pytającem okiem.

— „Nie chcę“ — odrzekła cicho — „by ktoś poznał to miejsce, zanim ty i Twoja armja będziecie bezpieczni.“

— „Ależ to są moi najwierniejsi ludzie.“

— „Ja nie ufam nikomu.“

— „Ależ ty... kobieta sama ze mną!“

Z wzniosłą w oku boleścią spojrzała na wodza;

— „W tej czarnej sukni!?“

— „I w tak czarnej godzinie!“ — dodał jenerał.

Szli dalej, sami, w głąb doliny, pomiędzy drzewami, okrytemi zamarzłym śniegiem, w bezdrożnej śnieżnej pustyni; kobieta naprzód, za nią wódz; a świecące się pochodnie, dzikie rzucały światło na ciemne i smętne ich twarze.

U końca skrętu, był rznięty w skale, gruzami zasypany, otwór szybu. Dzikie krzaki zakrywały wchód. W zimie wiatr przykrył go śniegiem.

Otwór wysoki był przeszło na sążeń; ściany po bokach były ukośne.

Kobieta pierwsza weszła do tunelu, odchylając drobną, białą swą ręką, obmarznięte krzewy, stojące po drodze; za nią w milczeniu i zadumie postępował wódz węgierski. Przez spuszczony welon kobiety, widać było blask wielkich, ciemnych jej oczu.

— „Tunel jest nieco zaniedbany, trudnem będzie przejść przezeń;“ — rzekła — „ale gdzie tyle rąk czekali twego rozkazu, można będzie uporządzić go w ciągu kilku godzin. Korytarz jest dosyć szeroki, nawet dla dział.“

Szli coraz dalej, głębiej, w jądro góry. Naprzód kobieta, w czarnej sukni, z świecącą pochodnią, za nią... wódz w szarym płaszczu.

W niektórych miejscach było w tem wnętrzu ziemi tak ciepło, jak w parnym dniu letnim, tam znowu szumiała podziemna woda, spadając jakby deszcz ulewny i przemaczając suknie idących pod nią.

W środku tunelu, była studnia szybowa. Otchłań to głęboka, bardzo długa, podobna do studni, wznoszącej się do nieskończonej wysokości, jakby ogromny komin aż do samego szczytu góry; a otwór jej tam, wygląda tu z kilkuset sążniowej głębokości jak gwiazda czworograniasta. Ztąd ciągnie się ta otchłań, na dół, kilkaset sążni głęboko w płodne wnętrze ziemi. Widać jeszcze dotychczas, na górze, gruby okrągły wał, do którego uwiązaną była lina, po której spuszczali się górnicy. Głęboka ta otchłań była całkiem bez poręczy obok kurytarza. Kobieta wzdrygnęła się na ten widok.

— „Gdy pierwszy raz tędy przechodziłam, nie uważałam tego“ — rzekła — „Jak mało brakowało ażebym tu była wpadła!“

Nieco dalej, snuł się przez korytarz mały strumyk, którego również przed laty tam nie było. Hermina nie mogła przebrnąć przez wodę. Wódz wziął ją więc na ramię. Ona oparła mu głowę o plecy.

Twarze ich były tak smutne, tak blade!

Niegdyś, przed wielu laty, przy takiej sposobności, policzki ich nie byłyby tak blademi; ależ.... czarna suknia i czarna godzina!

Po drugiej stronie strumyka, opuścił ją jenerał na ziemię. Wkrótce potem dotarli do drugiego końca tunelu całkiem zawalonego gruzami.

Jenerał musiał odsunąć kilka większych kamieni, by mogli wyjść, co uczyniwszy, znaleźli się pośród dzikiego i ciemnego sosnowego boru.

W dali słychać było odgłos nieprzyjacielskich patrolów, właśnie rond obchodzących.

Las był tak gęsty, iż nic zgoła przejrzeć nie było można.

— „A teraz Pan Bóg z tobą, jenerale!“ — rzekła kobieta — „Ja idę dalej“ — i podała wodzowi rękę.

— „Co czynisz Hermino? W tym lesie? Podczas takiej nocy!

— „Jest to już moja nie pierwsza wycieczka, w takim czasie i po takiej drodze. Niedaleko ztąd mieszka stary młynarz, który mnie zna jeszcze dzieckiem; udam się do niego, przebiorę się za chłopkę i... pójdę dalej.“

— „Dlaczegoż tak prędko?“

— „Pan już zapomniałeś, ale ja jeszcze nie, że w domu mego męża, zostawiłam mężczyznę, który go zabił. Do niego tak spieszę. Pan Bóg z panem!“

— „Nie puszczę cię samej Hermino! Odprowadzę cię aż do młynarza, albo przynajmniej aż na koniec lasu.“

— „Nie zapominaj jenerale! iż jesteś dowódcą dwudziestu tysięcy żołnierzy, których musisz uratować, i to jak najprędzej. Pan Bóg z Panem! Spotkamy się jeszcze nieraz.“

Tajemnicza kobieta, oddaliła się po tych słowach prędko i udała się w kierunku lasu. Nawet pochodnię zagasiła, i zniknęła pomiędzy gęstemi drzewami, których igły tylko, przechowały na tym zimowym białym świecie, swoją ponurą, melancholijną zieloność.

Wódz patrzał się jeszcze jakiś czas za oddalającą się kobietą, potem się obrócił; przebiegł prędko podziemny chodnik, i długo jeszcze trwała zimna długa noc zimowa, gdy jenerał był już w swoim namiocie.

Natychmiast kazał wyruszyć wszystkim swoim pionierom, a gdy z szybkością godną podziwu sporządzono tunel, wysłał przezeń najprzód najlepszą część swego wojska.

W opuszczonym szybie rozległ się znowu oddawna już niesłyszany hałas, zgiełk i wrzawa; ciemność przebywająca tutaj od niezliczonych już wieków, wypędzoną została ze swego gnieździska, przez niezwykłą jasność, a cienie przez pochodnie to w prawo to w lewo rzucane, wydały się jak bezkształtne duchy, znikające w strasznym swym polocie, między rozpadlinami twardej skały.

Wódz sam i wszyscy oficerowie świecili robotnikom pochodniami, a jak tylko pionierzy kawałek drogi ubili i wyrównali, zaraz postępowała za nimi ciężka artylerja, której armaty sześć koni zaledwie wyciągnąć mogło, tak, że w razie potrzeby żołnierze sami je popychali obracając szprychy u kół.

Nieskończona zimowa noc trwała jeszcze, gdy najleksza część wojska i kilka dział, szczęśliwie przebyło tunel; i gęsty bór sosnowy, ukrył ich przed nieprzyjacielem.

Zaledwie zaczęło świtać, bitne te wojsko stanęło do marszu, na gościńcu prowadzącym z miasta ku Szelaknie.

Nieprzyjaciel tymczasem oczekiwał spokojnie, na obwarowanem swem stanowisku, ataku Węgrów. Ale zaraz po pierwszym grzmocie dział, ukazała się na jego tyłach nowa część wojska przybyłego tunelem, i oblegający by nie zostać wziętym we dwa ognie, musieli cofnąć się, zostawiając tym sposobem wolne przejście, walecznej załodze.

Takimto sposobem ocalił naczelny wódz węgierski poruczone mu wojsko w chwili właśnie, gdy każdy je już za stracone uważał.

I odtąd już zaczęła mu przyświecać gwiazda szczęścia!

(Dok. nast.)

Od Redakcji.

Dalszy druk rozprawy naukowej p. n. *Wolność i Państwo* z powodu skonfiskowania znacznego ustępu przez c. k. Prokuratorję — wstrzymujemy a to z obawy dalszej konfiskaty, któraby Szanownych prenumeratorów Tygodnia naraziła na odbieranie białego papieru a nas na niepotrzebne wydatki.

WPan H. M. w Wiedniu. Proponowanego druku tragedji w **Tyg. Polskim** podjąć się nie możemy.

WPan J. w Czernichowie. N. 13 i 14 **Tygodnia** zostały wysłane później z powodu iż pierwsze wydanie zostało skonfiskowane.

WPan F. H. w Bochni, N. 12 zginął na poczcie, co się naszej poczcie bardzo często zdarza; wysłaliśmy po raz drugi. N. 13 i 14 spóźnienie nastąpiło z powodu konfiskaty.

WPani O. M. w Tyśmieniczanach. Które Nra. **Tygodnia** nie doszły rąk WPani?

Treść Nr. 15.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.